

XVI
KONKURS
LITERACKI
2009



„Jurorom towarzyszyły kryteria świeżości, odkrywczości, talentu i nieprzeciętnej sprawności warsztatowej. [...] tym samym doszło do odkrycia kilku oryginalnych światów [...] dla których kędzierzyński konkurs stać się może przepustką do historii literatury”.

[ze wstępu]



KRAJOBRAZY
SŁOWA



POEZJA I PROZA
LAUREATÓW
KONKURSU LITERACKIEGO

KRAJOBRAZY SŁOWA

XVI Konkurs Literacki, Kędzierzyn-Koźle 2009

KRAJOBRAZY SŁOWA

Poezja i proza laureatów
konkursu literackiego

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
URZĄD MIASTA W KĘDZIERZYNIE-KOŻLU
Kędzierzyn-Koźle 2009

Serdecznie dziękujemy naszym darczyńcom za wierność,
życzliwość i finansowe wsparcie konkursu:

- **Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.**
 - **Południowy Koncern Energetyczny S.A.**
 - **Elektrownia Blachownia w Kędzierzynie-Koźlu**
 - **Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego**
- **Wielobranżowy Zakład Elektryczno-Budowlany „ELBOR”
w Kędzierzynie-Koźlu**

Projekt okładki
Leszek Oldak

Opracowanie redakcyjne
Agnieszka Jakutajć-Zalewska

Korekta
Agnieszka Jakutajć-Zalewska

ISBN 978-83-928693-0-6
978-83-7511-115-6



KĘDZIERZYŃSKI WYSYP NOWYCH TALENTÓW

W tym roku jury rzeczywiście postawiło na nowe talenty, na wyraziste osobowości, które już wiedzą, o czym chcą mówić i jak chcą mówić, by nie popaść w banał i łatwiznę. Zdaje się, że czas eksperymentów minął. Od literatury oczekujemy pomocy, opowiadania się po stronie wartości, oczekujemy wiarygodnego opisu świata, w którym coraz trudniej się znaleźć, coraz ciężiej żyć. Literatura ma pomagać w kłopotach z rzeczywistością nie tylko samemu autorowi, ale przede wszystkim czytelnikowi. Czytelnik szuka języka, który mógłby stać się jego językiem. Języka obrazów, przeczuć, metafor, wysublimowanej mowy działającej jak szyfr do sejfów, a w tym sejfie, jak w błądaku, jest wszystko, co wiemy o świecie i czego chcemy od życia.

Jurorom towarzyszyły kryteria świeżości, odkrywczości, talentu i nieprzeciętnej sprawności warsztatowej. I wydało nam się, że w nagrodzonych utworach owe kryteria w różnych układach i konfiguracjach wystąpiły. Cieszymy się, że tym samym doszło do odkrycia kilku oryginalnych światów nieznanych szerzej do tej pory, światów, dla których kędzierzyński konkurs stać się może przepustką do historii literatury. Oby tak się stało. Już ściskamy kciuki.

I wydało mi się także, że teksty nagrodzone dały się zauważyć nie tylko w związku z biegłością stylistyczną, z warsztatową sprawnością. Uderzało mnie nieraz coś w rodzaju pulsowania tajemnicy, czegoś stojącego za opowiadaniem wydarzeniami i przesuwanym językiem na wylot. Po tym podobno poznaje się prawdziwego pisarza. Stopień nasycenia wieloznacznością jest miarą mistrzostwa. W tym roku czytało mi się te najlepsze wiersze i opowiadania z Platonem w ręce, to znaczy, że czytałem, iż za ścianą słów kołaczę subtelny „ciąg dalszy”, dyszy jakieś metafizyczne zwierzątko. Platońskie operacje poetyckie zachodzące tu w niektórych tekstach, a właściwie tylko w ich fragmentach, wyraźnie wskazują na coś głównego, na pierwowzór istnienia, na oryginał bytu.

Słabe utwory nie są w stanie otrzeć się o to. Nie mogą sprostać tęsknocie. Nie potrafią uwiarygodnić hipotezy. Być może jesteśmy na tropie jakiegoś miary dobrego tekstu, czyli takiego, który odważnie przenika zastonę, sygnalizując obecność odległego promieniowania. Czy ono naprawdę tam jest, czy też wszystko rozgrywa się wedle odwiecznych konwencji poruszonej wyobraźni, nie ma większego znaczenia. Niech trwa ułuda, że wierszem czegoś dosiegamy, że przekraczamy dany nam horyzont. Niech trwa ułuda, że wiersz jest komuś potrzebny, a dobre opowiadanie bywa drzwiami do lustrzanego świata obok.

Karol Maliszewski

ANNA MARIA PODYMA
godło „AnnMari93”

Nagroda Marszałka
Województwa Opolskiego



ANNA MARIA PODYMA urodziła się 15.01.1993 r. w Leśnicy. Uczennica gimnazjum. Trzykrotnie nagradzana w konkursie literackim dla młodzieży „Małe Krajobrazy Słowa”. Fragment opowiadania pt. „Świat moich marzeń” znalazł się w zbiorze „Jak warkocz splatać słowa” – antologii wydanej z okazji jubileuszu 10-lecia istnienia konkursu „Małe Krajobrazy Słowa”(Kędzierzyn-Koźle, 2005).

LATAWIEC

Nie zaczyna się banalnie. Każda historia powinna mieć swój niebanalny początek. To właśnie on świadczy o tym, jak będzie odebrane każde następne zdanie. I kolejne... Ale przecież wszystkie opowieści zaczynają się narodzinami. Czegoś lub kogoś. Oryginalne? Nie.

Z tego, co mi wiadomo, rozpoczęło się 14 lipca dziewięć trzy. Mama dostała skurczy. Zawieźli ją do szpitala i około dziewiątej trzydzieści wydałam z siebie pierwszy krzyk. Na drugi dzień pełniłam funkcję eksponatu w szpitalnym muzeum noworodków. Podobno pół rodziny przyjechało, by zobaczyć tę małą bezimienną. Przypuszczałam, że już wtedy kłócono się, do kogo jestem podobna, po kim odziedziczyłam oczy, nos i buzię. Ostatecznie stwierdzono, że najbardziej przypominam babcię. Mamę mamy. I dlatego po upływie miesiąca – 14 sierpnia nadano mi imię Antonina Marta. Marta po drugiej babci. Żeby nie było jej przykro. Od tamtej pory stałam się ich oczkiem w głowie. Podejrzewam, że babcie trochę rywalizowały o moje względy i stąd stawałam się coraz bardziej rozpieszczona. Na szczęście mieszkaliśmy daleko i na co dzień obcowałam jedynie z rodzicami. Ale oni chyba też mnie rozpieszczali. Musiałam mieć cholernego pecha rodząc się jako pierwsze i zarazem ostatnie dziecko. Podobno wróży to despotyzm i samolubstwo. Mnie na szczęście udało się tego uniknąć.

Kiedy miałam trzy latka, zaprowadzono mnie do przedszkola. Koleżanki mnie uwielbiały. Pamiętam, że zawsze miałam wokół siebie tłumy. Gdy w coś się bawiliśmy, zawsze odgrywałam najważniejszą rolę i wszyscy liczyli się z moim zdaniem. W ogóle byłam niezwykle lubiana. I tak do końca, sama nie wiem dlaczego. Może była to kwestia braku rodzeństwa i chęć bliższego poznawania rówieśników? Albo po prostu żądza bycia najlepszą. Pamiętam, jak przedszkolanki dziwiły się, że jestem jedynaczką i mam taki dobry kontakt z innymi.

Ja odpowiadałam wtedy zwięźle słowem, które usłyszałam kiedyś od dziadka: „Jestem ewenementem” i wtedy wszyscy byli jeszcze bardziej zaskoczeni. Nie wiedziałam dokładnie, co to znaczy, ale chyba coś ważnego i mądrego. Bo dorośli zawsze dziwią się, gdy dziecko powie coś mądrego.

Rok później znalazłam pod choinką najwspanialszego przyjaciela. Misia Uszatka. Takiego, jaki występował w telewizji. Tyle że mój był z materiału i był prawdziwy. Tamten to tylko animacja. Od tamtego dnia nie wychodziłam bez niego z domu. Wydawało mi się, że ciągle na mnie patrzy i obserwuje, co robię. Przy nim stawałam się lepsza. Bo ludzie zawsze są lepsi, gdy widzą, że ktoś na nich patrzy. Nawet dorośli potrzebują stałej kontroli kogoś z boku. Gdy widzą kogoś w pobliżu momentalnie trzeźwieją i przypominają sobie, co jest dobre, a co złe. Mimo że nie byłam dorosła, a wręcz jeszcze całkiem mała, też miałam taką opokę. Uszatek pełnił rolę wszystkiego, czego mi brakowało. Nie zabrzmiało to stosowanie i grzeczność, ale stawiałam go na równi z mamą i tatą. I siostrą, o której zawsze marzyłam, a moi rodzice byli na tyle mało domyślni, że nie wpadli na to, że można by powiększyć rodzinę o, na przykład, siostrę lub brata ostatecznie. No cóż. Byli tylko oni i Uszatek.

Mama była i nadal jest nauczycielką języka niemieckiego w szkole podstawowej. Zwykle w drodze z pracy, odbierała mnie z przedszkola i szłyśmy na zakupy. Lubiłam wrzucać do koszyka wszystko, co miało ładne opakowanie. Mama zazwyczaj tego nie zauważała. Inaczej: udawała, że nie zauważa, bo wiedziała, że robienie zbędnych zakupów sprawia mi przyjemność. Podchodziła do kasy, wykladała rzeczy na ladę i patrzyła na mnie ze zdziwieniem, po czym jej policzki podnosiły się do góry ustępując miejsca uśmiechowi. Ja też się śmiałam. Kochałam ją za ten jej ciepły uśmiech. I za to, że zawsze była dla mnie najlepsza na świecie. Po powrocie do domu gotowałyśmy razem obiad. Ja w swojej plastikowej kuchni, mama w swojej. Tej prawdziwej. Chciałabym napisać, że wtedy zawsze wracał tatuś i jedliśmy wspólnie obiad. Nie, tak nie było. Nie jadłyśmy przy stole. Nawet nie wyjmowałyśmy dwóch talerzy. Ja jadłam przy parapiecie wypatrując przez okno, czy przypadkiem nie wraca. Mama siadała obok na krześle i zawsze coś opowiadała. Co chwilę wsadzała mi do buzi łyżkę. Na zmianę. Raz sobie, raz mi. Czasami mówiła, że ta łyżka z zupą to samolot, który musi wysadzić pasażerów na lotnisku.

Gdy to przestało skutkować, jadłam za kogoś. Za mamę, tatę, Uszatka, babcię, dziadka... Nie lubiłam tego. Jeśli zjem to za nich, to oni dalej będą głodni. Ale jadłam. Jeśli ma to w czymś pomóc, to dlaczego nie? Gdy zjadłam już drugie danie, a tato dalej się nie pojawiał, szłam do pokoju, rozkładałam książeczki i razem z mamą rysowałyśmy lub czytałyśmy. Czasem bawiłyśmy się w Barbie. Tato często nie wracał na całą noc. Pamiętam, że było mi wtedy smutno. Bałam się o mamę, która samotnie siedziała przed telewizorem. Bałam się, że ktoś przyjdzie z nożem do domu i nie będzie miał nas kto obronić. Bałam się, że tato już nigdy nie wróci, że zapomnę, jak wygląda. Przytulałam Uszatka i płakałam. Nie umiałam zasnąć. Za dużo myślałam. To było jak jakiś film. Ciągłe jakieś zdarzenie, w którym kogoś brakowało. Jak puzzle bez jednego elementu. Gdy zaczynały mi drżeć nogi, szłam do mamy. Siedziała na fotelu z pilotem w ręku. Odkładała go, gdy tylko usłyszała moje kroki. Wchodziłam jej na kolana i obejmowałam za szyję. Mama nigdy nie płakała za tatusiem. Ale wiedziałam, że było jej przykro. Pewnie wolałaby leżeć w objęciach męża, niż samotnie wpatrywać się w zmienny ekran telewizyjny. Ale ona rozumiała. Ja nie. Bo dlaczego lekarz nie może być wieczorem w swoim domu?

Ale gdy na drugi dzień się budziłam, tatuś jadł już śniadanie i czytał gazetę. Pytał, co mi się śniło. I razem szliśmy do przedszkola. Wychodziliśmy wcześniej, by móc się sobą nacieszyć. Zatrzymywaliśmy się przy każdym ciekawym drzewie. Tatuś mówił, jak się nazywa po polsku i w takim innym, śmiesznym języku. Byłam dumna, gdy idąc chodnikiem, trzymał mnie za rękę. Był najmądrzejszym człowiekiem na świecie. Wiedział wszystko. Prawie wszystko. Myślał, że na drugiej półkuli ludzie nie chodzą do góry nogami. A nie da się mieszkać na globusie i zawsze stać prostopadle do szafki. Ale nie chciałam go martwić, że wiem lepiej.

Gdy wracałam z przedszkola, tato był w domu. Siedział przed lśniącem fortepianem i sprawiał, że białe klawisze zapadały się coraz bardziej, wydając z siebie czyste brzmienie. Mama gotowała obiad. Te chwile uwielbiałam najbardziej. Tato sadzał mnie na swoich kolanach i dla ukojenia strun grał mi „Love story”, potem pokazywał mi, gdzie na klawiaturze znajdują się oktawy. Czasami kazał mi zamknąć oczy i mówić, w jakiej odległości znajdują się zagrane przez niego dźwięki i jak się nazywają. Kiedyś na dziesięć zagranych, dziesięć razy odpowiedziałam poprawnie. Powiedział, że mam słuch absolutny.

I wtedy siedzieliśmy wspólnie przed fortepianem jeszcze częściej. Lubiłam to. Lubiłam czuć, że jestem kochana, że tatuś chce spędzać ze mną czas. I grałam, ciągle grałam, bo wszyscy tego chcieli. Czasami wydawało mi się, że od zagranego utworu świat staje się piękniejszy. Ja też chciałam grać. Forte pian był czymś w rodzaju zbliżenia do ludzi, którzy budzili we mnie niechęć. Wystarczyło nacisnąć jeden klawisz. Czarny lub biały – bez znaczenia i każdy popadał w zachwyty. Nawet dyrektor szkoły muzycznej dał się oczarować i zgodził się przyjąć mnie przedwcześnie, jak zaznaczył: „ze względu na wybitne zdolności”, gdy tylko skończę pięć lat.

Gdy kończyłam pięć lat, dalej nie miałam rodzeństwa. Miałam za to Uszatka. Mojego odwiecznego przyjaciela, który mnie jeszcze nigdy nie zawiódł. Gdy tylko wracałam z przedszkola, opowiadałam mu, co robiłam, jak minął dzień. I czy warto było go przeżyć, czy może lepiej byłoby udawać chorą i zostać w domu. Rodzicom nie przeszkadzało, że moim jedynym przyjacielem został pluszak. Nie byli o niego zazdrośni, bo im też dużo opowiadałam. I babciom. Ale to były rozmowy niekoniecznie ważne. Raczej bardziej nieważne niż ważne. O tym, co lubię, a czego nie. Jakie bajki, książki, zupy, koleżanki. Nic więcej. Kiedyś tylko wspomniałam, że nie wierzę w niebo. Że nie może być niczego piękniejszego od mojego fortepianu i spadających liści i śnieżynek za oknem w salonie. I że nie chcę żyć wiecznie, bo to byłoby trochę nudne. Jaki sens ma rozbite kolano, skoro ból, jaki temu towarzyszy w niczym mi nie przeszkodzi, bo i tak na wszystko kiedyś znajdę czas? Rodzice powiedzieli, że jestem za mała, żeby zrozumieć pewne rzeczy. Zabronili mi spotykać się z koleżankami z nieco gorszych (jak wspominali) rodzin. Bo to od nich dowiaduję się takich bzdur. Ale przecież one mi nic nie mówiły. Sama to wymyśliłam. To znaczy, że jestem gorsza?

Więcej już się nie odzywałam. Milczenie to najwyższa forma egzystencji. Jeśli potrafisz milczeć, swoją postawą zwalczysz wszystkich przeciwników. Bo ludzie pokonują i nienawidzą tylko tych, którzy obierają jakąś postawę i nie kryją swoich myśli. Jeśli zamilknie, nikt ciebie nie zniszczy, bo nikogo nie będziesz obchodzić.

Przez kolejne dwa lata tłukłam w klawiaturę. Nie wiem, czy to lubiłam. Tato twierdził, że jak gram, kocha mnie jeszcze bardziej. Miał dużo dyżurów, dlatego chciałam być dla niego najważniejsza, a gdy grałam właśnie tak było. Gdy tylko miał wolną chwilę, szukał nut do

późnej nocy, a następnego dnia pomagał mi w „rozgryzaniu” utworu. Potem grałam. I nawet nie wiem kiedy, stało się to moim nałogiem. To było coś w rodzaju jedzenia czy picia. Albo mycia zębów. Trzeba to robić, czy się chce czy nie. Czy jest na to czas, czy chwilowo go brakuje. Nie myślałam nad tym, co robię i po co. Po prostu grałam. A tato był niesamowicie szczęśliwy i chyba właśnie to rekompensowało mi wszystkie braki (nie pamiętam na przykład wypadów do piaskownicy czy do wesołego miasteczka). Żałowałam tylko, że mama nie bierze udziału w mojej muzycznej edukacji. Ale ona wolała gotować i sprzątać. Czasami czytała jakieś książki z niemiecką flagą. Chciała być dla mnie nauczycielką, jak tato, ale ja nie chciałam mówić w innym języku. Było jej przykro, wiem, ale nie miała mi tego za złe. Wiedziała, że i tak to ją woleł przytulać i tylko z mamusią mogę zasypiać. I że ona najlepiej na świecie czyta bajki. I nie mogła mieć mi za złe muzyki. Tym bardziej, że kiedyś (wakacje między trzecią a czwartą klasą) pokłóciłam się z rodzicami. Tato powiedział, że jestem nieorganizowana, chaotyczna i nie wiem, co chcę robić i za co się zabrać. Wykrzyczałam, że wiem. Że chcę być wielką pianistką. Więcej na mnie nie krzyczał. Chyba czuł coś w rodzaju spełnienia. Był szczęśliwy. Postanowiłam, że dotrzymam słowa. I że wpiszę się w historię.

Zaczął się wyścig z czasem. Zapraǳnęłam być najlepsza. Musiałam być najlepsza. Bo miałam za duże ambicje, za duże zdolności. Bo tak będzie dla mnie lepiej, bo przecież sama tak naprawdę tego chcę. Bo rodzice tak chcieli. I nie chodziło tylko o muzykę, w której zawsze przodowałam i, prawdę mówiąc, w swoim otoczeniu nie miałam rywali. Niektórzy na przesłuchaniach dziesięciolatek wspominali już o Konkursie Chopinowskim. I normalna szkoła. Bez niej – jak bez ręki. A tyle osób chodzi bez ręki. I bez nogi. I żyją, i są szczęśliwi. Ja też byłam. I to niesamowicie.

Cały rok w czwartej klasie wiele mnie nauczył. Przede wszystkim tego, że mój cel jest do osiągnięcia. Że jeśli tylko chcę, mogę być najlepsza. Zarówno pod względem naukowym, jak i koleżeńskim.

Niektórym wydaje się głupie takie gnanie przed siebie. Byłe do przodu. Według mnie to całkiem rozsądne rozwiązanie. Bo co innego ma robić taka dziesięciolatka? A wygrane konkursy przynajmniej dostarczają jej satysfakcji. Mnie przynajmniej było z tym dobrze.

Koleżanki mówiły, że lubią do mnie przychodzić, że u mnie jest atmosfera. Zawsze spotykałam się z Magdą, Anetą, Olą i Agnieszką.

Mówiliśmy o sobie przyjaciółki. Z perspektywy czasu stwierdzam, że przyjaźnią to raczej nie było. Nie miało prawa być. Ale wtedy byłyśmy inne. Może trochę mądrzejsze. Albo głupsze. Właściwie sama nie wiem. Dziewczyny przychodziły do mnie się uczyć lub po prostu pogadać. Posłuchać muzyki (wtedy wszyscy słuchali tego samego, poza tym można było pić z jednego kubka, bo po co brudzić pozostałe, jadło się z jednego talerza i nikt nigdy na nic nie zachorował, teraz podobno się choruje). Czasami przeglądałyśmy młodzieżowe pisemka. Nie lubiłam tego. One owszem. Czytałyśmy o problemach z rodzicami (których ja rzecz jasna nie miałam), o szkolnych kłopotach z chłopakami (żadna z nas ich nie miała). Czasem pisałyśmy do redakcji. Nie odpisywali. Po upewnieniu się, czy nie ma nikogo w pobliżu, czytałyśmy strony o znajomościach, które potem przeradzały się w miłość. Zawsze przy tym panowała taka dziwna cisza. W czasie jej trwania myślałam o tym, jak to jest mieć chłopaka. Chyba każda z nas chciała, by ktoś się nią zainteresował. Każda dziewczyna tego chce. Później były strony, których nie czytałyśmy. W ogólnym mniemaniu były „dla dorosłych”, mimo że gazeta była młodzieżowa. A my młodzieżą już chyba byłyśmy. Targałyśmy je na drobne szczątki i wrzucałyśmy do oddzielnych koszy (każda z nas brała trochę do kieszeni), tak na wszelki wypadek.

To był jedyny czas w moim dotychczasowym życiu, w którym miałam przyjaciółki. Koleżanki. Znajome. Kogokolwiek. Wspólne wypadki nad staw, wycieczki rowerowe, kradzieże jabłek i malin, wspólne oglądanie komedii romantycznych. Czasem żałuję, że już tego nie ma. Że nie chodzi się już tak po prostu na plac zabaw wieczorem. Że nie patrzy się na zegarek, czy nie ma jeszcze dziesiętnastej, czy mama nie będzie zła. Wbrew pozorom okres późnego dzieciństwa, kiedy dopiero rodzą się problemy, kiedy ma się już jako taką świadomość – jest najszczęśliwszym ze wszystkich okresów.

Po jakimś czasie relacje między nami trochę się popsuły. Sama nie wiem czemu. Dziewczyny pewnie też nie wiedziały. Ale przyjaciółkami byłyśmy nadal. I nadal robiłyśmy głupie rzeczy. Aneta miała kiedyś fioletowe włosy. Bo była jasną blondynką, a jej babcia z nieco słabym wzrokiem postanowiła zrobić z niej platynową Marilyn Monroe. Była fioletową Marilyn. Ja też chciałam być gwiazdą. Gwiazdy zawsze mają ładne brwi. Moje były brzydkie. Zmieniłam ich kształt golarką taty. Jedna zniknęła na dwa tygodnie, z drugiej wszyscy się śmiali. Gwiazdą nie zostałam, a brwi rosły jak wściekle. Siłą rzeczy musiałam

je później golić w tajemnicy przed rodzicami. O pęsecie nie miałam pojęcia.

Ostatni rok podstawówki przyniósł ogromne straty. Wiedziałam, że trzeba skończyć szkołę z dobrym wynikiem (mimo że większość szła do jednego gimnazjum) i postanowiłam to uczynić. Dużo czasu spędzałam nad książkami. W dniu dzisiejszym sama się temu dziwię. Przecież to było takie banalne i proste. Ale było i musiałam z tym wygrać. Z fortepianem szło mi coraz lepiej. Nauczyciele byli mną zachwyceni. Ja właściwie też się cieszyłam, bo wbrew pozorom dalej miałam mnóstwo koleżanek, które wiecznie mi czegoś zazdrościły. Na początku byłam dumna, potem mówiłam im, że nie ma czego, później to ja zaczęłam im zazdrościć. Domu. Tego, który coraz bardziej się ode mnie oddalał. Taty praktycznie już nie było. Mama spała. Siedziałam w pokoju i się uczyłam. Czasami wychodziłam na różne popołudniowe zajęcia. Około dwudziestej pierwszej wracał tato. Co drugi, trzeci dzień. Chciałam z nim porozmawiać. Interesował się mną, czułam to. Czułam, że jestem potrzebna, a jednocześnie wiedziałam, że wszyscy się od siebie oddalamy. Nie mogłam tego znieść. Przecież to moi rodzice, moja rodzina. Nie możemy żyć oddzielnie. Potrzebujemy siebie nawzajem. Potrzeba kogoś bliskiego jest jedną z głównych cech człowieka. Jeśli nie będziemy żyć obok siebie, nie będziemy istnieć. Czasami myślałam, co teraz, jak będzie dalej. Ale było dobrze.

Nie umiałam już rozmawiać z mamą, mimo że nic mi nie robiła. Zmieniła się. Chodziła wcześniej spać, zasypiała przed telewizorem. Długo pracowała. Była zmęczona. Nie chciałam tego, tak bardzo tego nie chciałam. Bałam się, że całkowicie ją stracę. Obiecałam sobie, że nigdy nie wybiorę zawodu, który będzie w jakikolwiek sposób kogoś krzywdził. Nienawidziłam uczniów, którzy przychodzili do mamy na korepetycje. To oni wysiadali u nas w domu do dwudziestej. To przez nich w weekendy mama była śpiąca. To przez nich tak dziwnie się zachowywała. Po co im ten niemiecki? Bez niego da się żyć. Nie jestem tylko pewna, czy ja byłabym w stanie żyć bez mamy. Właściwie to była w domu. Właściwie zawsze mogłam do niej podejść i się przytulić. Ale nie mogłam już z nią rozmawiać. Czasami odnosiłam wrażenie, że to ja muszę ją uczyć. Nie wiedziała tylu rzeczy, które wiedzieć powinna. Kiedyś przecież była taka mądra. A może i dalej była, tylko ja tego nie zauważałam?

Taty w domu nie było nigdy. Tylko czasami przelotnie, jakby w hotelu. Wtedy zwykle czytał. Lema lub Sienkiewicza. Czasami grał ze mną na fortepianie. Chyba przestał to lubić. Chciał, żebym to ja grała, lubił mnie słuchać. Zamykał oczy i mówił, co jest źle. Rozmawialiśmy o problemach gospodarczych Polski, o sytuacjach rządowych, o tym, co było kiedyś, dawno w historii. O tym, kto najczęściej choruje na jaką chorobę. Dlaczego tak ważna jest odpowiednia dieta i dlaczego jej nie przestrzegam. O tym, jak idzie mi w szkole i dlaczego dostałam tylko piątkę, a nie szóstkę, przecież stać mnie na to. Stać mnie przecież na wiele. Nie jestem do końca pewna, co się wtedy ze mną działo. To był dziwny czas.

Beata była starsza o rok. Mieszkała z matką, jej ojca nie było. Jak zapytałam dlaczego, dowiedziałam się, że po prostu. Była dla mnie najbliższą osobą. To, czy mamy rodzeństwo, czy nie, zostawia w naszym życiu kolosalny ślad. Ja siostry nie miałam w dalszym ciągu. Beata zastąpiła mi ją prawie w stu procentach. Zabierała mnie na koncerty, których niekoniecznie chciałam słuchać. Opowiadała mi o rzeczach, które niekoniecznie chciałam wiedzieć. Ale liczyło się to, że była i w pełni mnie akceptowała. Właśnie wtedy poznałam smak prawdziwej przyjaźni, której ani wcześniej ani później nie poznałam. „Prawdziwy przyjaciel, to ktoś, kto jest przy tobie, nawet wtedy, gdy powinien być gdzie indziej”. Gdy pojechałam do szpitala, by wycięli mi wyrostek, nie chodziła do szkoły przez trzy dni. Mówiła, że ja potrzebuję jej bardziej, niż ona potrzebuje biologii. Tak naprawdę, to nikt poza mną jej nie lubił. Rodzice nie chcieli, bym się z nią spotykała. Chodziła ubrana na czarno. Zapuszczała włosy, by zrobić sobie dredy, podkreślała oko czarną kredką i nosiła na lewym nadgarstku dwie pieszczochy. Ludziom to przeszkadzało. Bo jeżeli ktoś wygląda inaczej, automatycznie egzystuje pod statusem „gorszy” lub w ogóle „zły”. Beata była wspaniała i wcale nie była gorsza od koleżanek, które chodziły w końskich ogonkach, jeansach i różowych T-shirtach. Ona zawsze mówiła to, co myśli i o nikim nie wypowiadała się źle. Czasami tylko narzekała na swoich byłych chłopaków. Wszystkie moje klasowe koleżanki wiecznie kogoś obgadywały za jego plecami. Ale one były dobre i uczciwe, bo w ogólnym pojęciu nie stwarzały zagrożenia. Wtedy właśnie doszłam do wniosku, że szata jednak zdobi człowieka. Gdy chodziłam sama po rynku, ludzie mnie zagadywali, uśmiechali się do mnie i byli życzliwi. Gdy chodziłam z Beatą, nikt się nie uśmiechał, niechętnie sprzedawali nam chipsy i niechętnie

wpuszczali do kina. Kasjerka twierdziła, że to miejsce kulturalne dla ludzi dojrzałych psychicznie, a nie dla umazanych pajaców. Już nigdy więcej nie oglądałam filmu na dużym ekranie. Staralam się rozmawiać o tym z tatą. Myślałam, że pomoże, że będzie w stanie coś zmienić, jest przecież taki mądry. Ale on nie podzielał mojego zdania.

– Masz skończyć z tą Beatą. Nie widzisz, że ma na ciebie zły wpływ. Kto to słyszał, żeby taka młoda dziewczyna robiła z siebie taką... Może jeszcze mi powiesz, że ty też chciałabyś obwieszać się takimi łańcuchami i nosić na szyi obrozę dla psów?

Wtedy po raz pierwszy poczułam, że należy ufać tylko sobie. Ludzie patrzą na ogół. Jeżeli ktoś ma wygolone włosy na głowie i szeroką bluzę, automatycznie zaczyna stwarzać zagrożenie. Jeśli ktoś ma dredy jest niebezpiecznym narkomanem, podobnie jak ci, którzy ubierają kolorowe kwieciste stroje i zawieszają pacyfki na szyi. Długo myślałam, co by było, gdybym zaczęła ubierać się na czarno. Czy coś by to zmieniło? Ja przecież pozostałabym taka sama. Miałabym tylko trochę więcej wrogów. I żadna starsza pani by mnie nie lubiła, bojąc się do mnie podejść. Ale za to nikt by na mnie nie krzychał. Nie musiałabym zwalniać miejsca w autobusie i byłabym poniekąd wolna od wysłuchiwania ludzkich żalów. Nie wiem tylko, czy byłabym gotowa na życie poza okręgiem.

Beata była. I to jak najbardziej. Mówiła, że nie obchodzi ją, co myślą o niej inni.

– W życiu trzeba liczyć tylko na siebie. Ludzie są dla ciebie mili tylko z pozoru. Jeśli będziesz ich potrzebować, rozplyną się w powietrzu, jeśli oni będą chcieli coś od ciebie, na pewno znajdą twój adres.

Nie pamiętam, co jej na to odpowiedziałam. Nie wiem nawet czy się z nią zgadzałam, czy nie. Pewnie nie. Byłam roześmianą, kolorową dziewczynką, której życie oszczędzało wszelkich zmartwień. Nie miałam kłopotów, a mój świat był idealny. Żyłam w przekonaniu, że wszystko się ułoży. Bo przecież musi być dobrze. Świat jest piękny, a każde – nawet największe zło – kończy się happy endem. I chyba rzeczywiście tak jest. Nie może być inaczej! Po każdym smutku następuje radość i cokolwiek by się nie działo, zawsze znajdzie się chwila, która przysłoni to, co było złe.

Z Beatą przyjaźniłam się jeszcze długi czas i uważam ten okres za jeden z najpiękniejszych w moim życiu. Skończyło się źle i aż po dzień dzisiejszy żałuję, że nie zauważyłam wcześniej tego, co się dzieje.

W jakąś sobotę wstąpiła do mnie do domu. Powiedziała, że chce, żebym poznała jej znajomych. Ucieszyłam się. Już dawno chciałam zobaczyć ludzi, o których tak dużo opowiadała. Byłam szczęśliwa. Oznaczało to dla mnie przepustkę do ich paczki. Przepustkę do nowego, lepszego świata. Tam, gdzie nie ma granic, bo przecież nikt z jej znajomych nie przejmował się tym, co o nim mówią. Zazdrościłam im dystansu do życia i świata. Chciałam być tak samo wolna jak oni. Beata przegadala o nich wiele wieczorów i gdy tylko dowiedziałam się, że mogę ich zobaczyć na żywo, że będę przez kogoś zaakceptowana bez względu na wszystko, poczułam się niezwykle ważna i wyjątkowa. Wiedziałam, że Beata traktuje mnie serio i chce mnie im przedstawić jako swoją przyjaciółkę.

Nad ławką, na której siedzieli unosił się okropny zapach. W obrębie dwóch metrów wszystko było zadymione. Pierwszy raz w życiu widziałam tyle butelek piwa na raz. Przeraziłam się, powiedziałam Beacie, żebyśmy stąd poszły, ale ona odpowiedziała, że pokaże mi lepszy świat.

Nie przedstawiła mnie swoim znajomym. Powiedziała, że jestem nowicjuską, która jeszcze nie praktykowała. Usiadła na kolana jednemu chłopakowi i zaczęła go całować. Jego obrzydliwe, wielkie ręce błędziły po jej delikatnym ciele. Ściągał jej ramiączka od biustonosza i podnosił bluzkę. Ona poddawała mu się coraz bardziej. Pozwalała mu na rozpinanie spodni i wkładanie rąk do tylnych kieszeni. Raz po raz wkładał jej do ust coś na wzór papierosa. Marihuana pozwalała na odprężenie i oddanie się przyjemności. Beata przestawała być sobą. Chciałam coś zrobić. Chciałam uciec, ale bałam się utraty kogoś bliskiego. Ucieczka oznaczałaby przyznanie racji reszcie świata, która uważała ich za gorszych. Nie mogłam tak po prostu odejść, bo w ten sposób musiałabym zakończyć znajomość z Beatą. A tak bardzo tego nie chciałam. Gdzieś w głębi wierzyłam, że to wszystko tylko mi się wydaje. Że grubo przesadzam myśląc, że powinnam zapobiegać temu, co robią. Może to nie było aż tak szkodliwe. Czy ludzie wolni mogą być od czegoś uzależnieni? Przecież między nimi nie ma barier. Może tylko udawali, by mi zaimponować? Albo po prostu przejściowy kryzys. Czytałam o tym wiele, a tak naprawdę dopiero teraz zobaczyłam, jak wyglądają pomniejszone źrenice. Czy tak wygląda lepszy świat? Czy tak wygląda wolność? W pewnej chwili podszedł do mnie Janek, którego znałam z jej zdjęć. Objął mnie w pól i podał puszkę piwa. Powiedział,

że to na dobry początek. Że teraz mogę zostać jego księżniczką. Było mi źle. Zaczęłam płakać. Tak bardzo żałowałam, że zgodziłam się na to wyjście. Nie miałam pojęcia, co dalej robić. Mieszałam się w swoich myślach. Nie było dobrego rozwiązania. Powinnam myśleć w kategorii ja, my, ona czy oni? Krzyczałam, by przestali, ale oni chyba tego nie słyszeli. Janek próbował wsadzić mi do ust skręta. Mówił, że to pomoże. Że nie trzeba płakać, bo na wszystko jest jakiś sposób. Nie można odmawiać sobie przyjemności. Szczęście to najważniejsza rzecz na świecie, a hedonizm jest najpiękniejszą cechą, jaką może posiadać człowiek. Gdy odmówiłam, złapał mnie za szyję i kciukami zaczął znaczyć mi koła na karku. Czułam jego nieświeży oddech na włosach.

– Rozluźnij się – szeptał mi do ucha. – Początki zawsze są trudne. Potem przyzwyczaisz się do nowej sytuacji. Zaistniejesz w lepszym świecie. Oddaj się rozkoszy...

Gdy sięgał po kolejne piwo, wyrwałam się z jego objęć i uciekłam. Nie wróciłam od razu do domu. Usiadłam pod wierzbą. To właśnie tam Beata obiecała być na zawsze moją przyjaciółką. Mówiła, że nigdy mnie nie skrzywdzi i zawsze stanie po mojej stronie, gdy coś będzie się dziać. Tak bardzo żałowałam, że wcześniej nie zauważyłam tego, co się z nią dzieje. Może mogłabym jej jakoś pomóc. Kiedy to się zaczęło? Przecież mogła mi powiedzieć. Mogłabym jej pomóc. Dlaczego mi to zrobiła? Dlaczego pozbawiła mnie jednej z najbliższych mi osób? Czy nie rozumiała, że oddałam jej wszystkie uczucia, które były przeznaczone dla znajomych? Bałam się o siebie i o nią. Co teraz będzie? Nie powinnam tego mówić jej matce. Co powinnam zrobić? Czy w ogóle mogę coś zrobić? Czy jestem wystarczająco silna, by zmierzyć się z przyjaciółką maryską i odciągnąć ją od Beaty? Nie umiałam złapać oddechu. Czułam na ustach gorzki smak chmielu, a gdzieś głęboko dusiłam w sobie obrzydzenie do samej siebie. Moją szyję dalej coś ścisnęło. Nie ma lepszego świata. Świat jest zakłamany i zły. A nasza przyjaźń nie skończyła się happy endem.

Nie miałam już więcej przyjaciół. Nie miałam bliskich osób. W domu było coraz gorzej. Mama przychodziła do domu, mówiła, że jest zmęczona, udzielała korepetycji, dziwnie się zachowywała, czasem robiła kolację (obiady były tylko w niedziele) i szła spać. Gdy ją budziłam, gdy chciałam się przytulić, opowiadała niestworzone historie. Na początku mnie to bawiło. Tato się złościł, gdy wyrzywałam mamę

ze snu. Mówił, że jest zmęczona i chce spać. Tato też był zmęczony, a nie spał. Coraz częściej krzyczał. I na mnie, i na mamę. Mówił, że nie wytrzyma już dłużej tej sytuacji. Że jest źle i wszystko zmierza ku końcowi. Co zmierza ku końcowi? Gdy gdzieś wyjeżdżaliśmy było inaczej. Tato dużo ze mną rozmawiał, był jedną z tych osób, na których najbardziej mi zależało. Dał mi poczucie wartości, dał mi fortepian i muzykę. I codziennie daje mi wiedzę. Wiedzę książkową. Ale i taka jest potrzebna. Uwielbiałam spędzać z nim czas. Czasami graliśmy wspólnie na komputerze, w szachy i Scrabble. Tylko ciągle czegoś w tym wszystkim brakowało. Nie mogłam mu wszystkiego powiedzieć, choć mówiłam dużo. Czasem za dużo, bo miewał mnie dosyć. Wtedy przytulał mnie do siebie, głaskał po głowie i nazywał swoją rozgadaną Tosieńką. Lubił też wchodzić do mojego pokoju. Twierdził, że sprawdza stan czystości (zawsze miałam bałagan), ale tak naprawdę to chyba po prostu czuł się w nim dobrze. Często siadał na moim łóżku i czytał. Lubił słuchać muzyki wpływającej z mojej wieży. I lubił oglądać nowe obrazki na moich drzwiach. I ja też lubiłam, gdy tak sprawdzał ten stan czystości pokoju. Zazwyczaj opowiadał mi, jak było w pracy i pytał, jak było w szkole. A wtedy było już coraz gorzej. Było źle.

Odkąd przyszedłam do gimnazjum, nie umiałam sobie poradzić z nową sytuacją. Na początku tęskniłam za podstawówką, za dawnym ustrojem klasowym. Za poparciem, którym się tam cieszyłam. Za koleżankami, kolegami, nauczycielami. Czasami też za klasami, tablicami i ławkami. To nie było już to. Szum i hałas. Nie byłam do tego przyzwyczajona. Trafiłam do klasy z Malwiną – przedszkolną koleżanką. Bardzo się swojego czasu lubiłyśmy. I na początku było nieźle. Wspólne przechadzki korytarzem, wspólne tematy, wspólna ławka. Pamiętam, jak pytałyśmy losu, czemu tak późno nas ze sobą zapoznał. Przecież byłyśmy dla siebie stworzone. Pomogła mi przystosować się do nowej sytuacji i odizolowała mnie trochę od reszty klasy. Nie przeszkadzało mi to, bo Malwina była fantastyczną osobą i lepiej było mi z nią niż z tłumem ludzi, o których nie miałam pojęcia. Lubiłam mieć mało osób wokół siebie. Malwina wydawała się cudowną koleżanką. Miałam nadzieję, że skończymy gimnazjum jako nierozłączne przyjaciółki.

Na którejś z lekcji informatyki było bardzo mało osób. Panował jakiś wirus, który rozłożył na łopatki połowę naszej klasy. Na dwanaście osób będących w tym dniu w szkole, było w klasie czternaście

stanowisk komputerowych. Mieliśmy poszukać w Internecie informacji o algorytmach. Przesiadłam się do stanowiska obok.

– Jeśli nie chcesz ze mną siedzieć, to nie musisz. W ogóle nie musisz się do mnie odzywać.

– W pojedynkę jest łatwiej. I tak siedzę obok ciebie, tyle że przy innym komputerze.

– Nie to nie. Mogłaś od razu powiedzieć, że nie chcesz przebywać w moim towarzystwie. Czekalaś tylko na najlepszy moment. Dzięki wielkie.

– Przepraszam.

Przepraszałam jeszcze wiele razy. Malwina niesamowicie to lubiła. Lubiła, gdy czułam się winna, a przyjmując przeprosiny, lubiła pokazywać swoją wyższość nade mną. Chciałam się od niej odsunąć, lecz nie dawałam rady. Chyba byłam na to za słaba. Malwina była toksyczną koleżanką, a ja w żaden sposób nie mogłam się jej przeciwstawić. Nie umiałam zaprzeczać jej poglądom i nie mogłam się z nimi zgadzać. Wiedziałam, że robię źle, ale była jedyną osobą z klasy, która w ogóle miała ochotę się ze mną zadawać. Byłam od niej w pewnym sensie uzależniona. Nie lubiłam jej, ale musiałam z nią przebywać. To było mocniejsze ode mnie. Wystarczył jej wzrok, a ja już musiałam ją przeproszać. Nawet jeśli nic się nie stało, to i tak była moja wina. W domu często dochodziłam do wniosku, że robię źle, że poddaję się bez walki, ale nie mogłam inaczej. Nauczyłam się, że to mądrzejszy zawsze pierwszy przeprosza. A przecież musiałam być mądrzejsza. Bo mądrzejszy znaczy lepszy. Bardziej lubiany... Nikt inny mnie nie lubił. Klasa mnie nie знаła. Poza szkołą nie miałam koleżanek.

Ale byłam szczęśliwa. Choćby dlatego, że ponownie przygotowywałam się do konkursu pianistycznego. A świat naprawdę jest piękny. To nic, że ludzie trochę Bogu nie wyszli. Każdy ma prawo się pomylić. Stworzył falujące morze, pachnący las, śpiewające ptaki, muzykę... Ludzie po prostu gdzieś umknęli i dlatego to wszystko tak wygląda. Ale to nic. Naprawdę. Bo co może być piękniejszego od „Pieśni kurpiowskich” Szymanowskiego? Od „Bolera” Ravela? Ludzie to tylko uzupełnienie pejzażu. Zakładając, że jest to pejzaż impresjonistyczny jesteśmy tylko jedną z wielu ciałek.

Gdy się rodzimy dostajemy w prezencie cały świat, staram się jak najlepiej wykorzystać ten mały prezencik od Boga. Codziennie coś

odkrywam i codziennie się czemuś dziwię. Mam nadzieję, że nigdy nie stracę kontaktu z dzieckiem, które we mnie tkwi. Ludzie, którzy zapominają, że mimo wszystko są dziećmi, tracą swoją wartość. Tylko ten, który potrafi się jeszcze dziwić i zachwycić tym, co go otacza, ma szansę na życie wieczne, bo ma szansę na zapisanie się w czyjejś pamięci. Czasami ktoś sprawi mi jakiś ból. Czuję, że coś we mnie umiera i chcąc nie chcąc – już się więcej nie rodzi. A przecież wcale nie musi tak być. Wystarczy zrozumieć, że nie jesteśmy idealni i nigdy nie będziemy, bo dla każdego co innego jest wyjątkowe. Po co ludzie dążą do wzniosłych ideałów. Wydaje mi się, że pięknym uczuciem jest czuć ból po upadku i ogromną euforię po podniesieniu się po porażce. Życie na ziemi jest dla mnie czymś wspaniałym. Nie wyobrażam sobie życia po śmierci. Chcę zostać tutaj. Tylko czy jest taka możliwość?

Gdy nie miałam z kim rozmawiać podczas przerw – obserwowałam znajomych. To wspaniała gra. Przez gesty i mimikę można dowiedzieć się znacznie więcej niż może przekazać słowo. Poznałam całą swoją klasę właśnie w ten sposób. Czasami zastanawiam się, czy dużo ludzi bawi się tak, jak ja w obserwowanie. Bo jeśli tak, to ja też mogę być obserwowana. A wcale tego nie chcę. Może jestem aspołeczna, ale nie lubię gdy ktoś przekracza bariery znajomości. Nauczyłam się być samowystarczalna i nie potrzebuję, by ktoś zabierał mi mój cenny czas. Nie potrzebuję krótkich znajomości i ludzi, którzy i tak w niczym mi nie pomogą. Nie potrzebuję towarzystwa w swojej samotności. Jestem cholerną indywidualistką, a w towarzystwie potrafię jedynie jeść i śmiać się. Jak płytko trzeba myśleć uważając, że człowiek jest zwierzęciem stadnym. Na poznanie mnie bliżej pozwoliłam tylko Zosi. Zofia z łaciny znaczy mądrość. Zosia była niezwykle inteligentna. I chyba trochę podobna do mnie. Dlatego od razu stała się dla mnie taka bliska. Na szczęście mieszkała daleko i nie mogłyśmy się często spotykać. To dawało mi przestrzeń i możliwość lubienia jej i darzenia uczuciem przyjaźni. Gdybyśmy mieszkały blisko siebie, pewnie po pewnym czasie stwierdziłabym, że jest uciążliwa i nie wyszłoby to na dobre. Jest mi dobrze samej ze sobą, co nie oznacza, że się z tego powodu cieszę. Mimo wszystko nie lubię odległości. Świat jest przecież taki maleńki, a tak ciężko jest gdziekolwiek dotrzeć. Czas pędzi, wskazówki w zaskakującym tempie krążą wokół tarczy zegara. Ponownie powracają w to samo miejsce. Ciekawe, czy odczuwają déjà vu. A co by było, gdyby nagle przestały się kręcić i rozproszyły

się, każda w inną stronę. Świat by zwariował. Ludzie lubią wiedzieć, która jest godzina. Dodaje im to pewności siebie. Jeśli mam jeszcze piętnaście minut, mogę pooglądać spadające liście, wsłuchać się w głos przyrody, mogę poczuć, że jestem szczęśliwa. Jeśli mam jedynie kilka minut, nie mogę dostrzec liści, które spadają mi prosto na twarz, zakłócając spokój. Nie można usłyszeć wówczas szumu drzew, bo do uszu dobiegają jedynie kurwy i zjeby, które doprowadziły do spóźnienia. W taki sposób nie można być szczęśliwym. Jeśli wszystko krąży, nie można niczego dostrzec. To tak, jakby kręcić globusem. Jeśli robi się to bardzo szybko, nie jest się w stanie zauważyć mijających kontynentów czy państw. Gdy energicznie machamy przed twarzą kieszonkowym lusterkiem, nie możemy zobaczyć nawet siebie. A jaki ma sens życie bez świadomości, jak się wygląda? Chociaż z dwojga złego wolałabym nie widzieć, niż nie słyszeć. Nie wyobrażam sobie dnia bez głosu Lennona. Za to bez jego zdjęcia można się obejść. Czy to nie cudownie. Gdy się nie patrzy – lepiej widać. Wzrok zawsze szuka tego, co ma wyższą cenę. Reczy najdroższych kupić się nie da. Nie warto się dla nich poświęcać.

– Mamo? – zapytałam wracając do domu.

– Ee? – wydukała podnosząc się z kanapy. Była jakaś dziwna, inna. Może trochę obca. Chciałam dzwonić po pogotowie. Mamo! Co ci jest?

– Daleko... – odrzekła głośno przełykając ślinę. – Co? Co? Eee..

Nie umiała mówić. Zadzwoiłam do babci. Była spokojna. Powiedziała, żebym dała jej mamę do telefonu. Dałam. Mama zaczęła opowiadać coś nieskładnego. Mieszkała się w słowach. Ktoś zaczął otwierać drzwi. Tato wszedł do domu. Zdjął buty. Zapytał, jak było w szkole. Zaprowadziłam go do salonu i powiedziałam, że się boję. Kazał mi wyłączyć telefon. Zaczął krzyczeć. Przeklinał. Bałam się także jego. Mama leżała i coś tłumaczyła. Pokazywała palcem zaznaczając swoje racje. Nie rozumiałam, o czym mówi. Powiedział, żebyśmy ją zostawili. Że pierdoli taki interes. Siedziałam u siebie w pokoju przez resztę dnia. Tak bardzo się o nią bałam. Nie chciałam, żeby umierała. Wciąż czułam podświadomy strach, który nie pozwalał mi normalnie żyć. Mamo. Wieczorem przyszła do mnie i się przytuliła. Żyła. Nie pytałam, co się stało. Nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć. Nienawidzę świadomości. Przecież było wszystko dobrze.

Zastanawiam się, czy pisać o tym, co wtedy myślałam, czy o tym, co myślę teraz. Bałam się i boję się. To wspólne cechy. Jedynie, co je dzieli

to odległość czasowa. Zmądrzałam przez te lata. Wtedy byłam głupią trzynastką. Teraz też jestem głupia, tylko trochę mniej. O dwie wiosny.

Taty już praktycznie nie widywałam. Stał się zwyczajnym ojcem, który w niedzielę wysłuchiwał koncertów w moim wykonaniu. Miałam brać udział w Konkursie Chopinowskim, choć za panem Fryderykiem nie przepadałam. Ale to się nie liczyło. I tak pewnie nie przejdę eliminacji. Zajął się muzyką rozrywkową. Kolejne etiudy nic mi nie dawały. Zaczęłam się cofać. Odczuwałam chęć poznania czegoś nowego, co odbiegałoby od ściśle ustalonych reguł. Sięgnęłam po Beatlesów. Byli naprawdę dobrzy. I mimo że zachwycając się nimi do najoryginalniejszych rzeczy nie należy, ja byłam zafascynowana. I nie wiem, kiedy to wszystko się zaczęło lub może skończyło. Czytałam i grałam na zmianę. Przystałam się uczyć. Nie żeby mi nic nie zależało, nie. Po prostu to nie miało sensu. I tak dalej byłam w ścisłej czołówce. Może wreszcie zdałam sobie sprawę, że należy żyć tak, jak mam na to ochotę. Szkoła to szkoła. Nie daje mi wiedzy, którą byłabym w stanie gdzieś wykorzystać. Oczywiście wiem, jak mam rozcieńczyć kwas z wodą, jak rozpisać wykres zdania wielokrotnie złożonego i wiem, jak sporządzić łańcuch pokarmowy. Ale nie wiem, co zrobić, gdy jest smutno. Co powinno się podać, gdy czekolada już nie pomaga. Na co czekać, gdy telefon milczy? Co robić w piątkowy wieczór, gdy inni świetnie się bawią, a ja po raz setny oglądam „Amelię”? Po jakie książki sięgać, by poznać nowe oblicze śmierci? Co zrobić, gdy moje towarzystwo już mi nie wystarcza? Okłamuję sama siebie. Po prostu brak mi odwagi. Wszystko, co osiągnęłam, to jedynie moja zasługa, to moja ciężka praca. Pan, który wydał podręcznik do fizyki w niczym nie przyczynił się do moich sukcesów. Przyczynił się jedynie do upadku. Widząc tysiące niepotrzebnych reguł, wszystko staje się zbędne. Tęsknię za tym, co konieczne. Tęsknię za iskierką nadziei i perełką w bezdusznym tłumnie. Za kimś, kto mnie zrozumie.

Pewnego dnia TO się zdarzyło. Byliśmy na wycieczce w Paryżu. Staliśmy pod wieżą Eiffla. Nie wiem, dlaczego akurat on. Był beznadziejny. Przez dłuższy czas nie byłam w stanie na niego patrzeć. Może wtedy dostrzegłam wreszcie te cudowne czarne loczki opadające na czoło. I okulary w ciemnych oprawkach. Niski głos. Tajemniczy uśmiech. Może wydał mi się piękny? Albo przystojny. Albo po prostu coś mi się uroiło. Ktoś sprawił, że zaczęłam żyć pod jego kloszem. Pod jego spojrzeniem. Cała reszta nie miała już znaczenia. W ostatnim

dniu wycieczki przestałam panować nad swoimi przyzwyczajeniami. Robiłam wszystko, by mnie zobaczył. Zaczęłam więcej mówić. Trochę głośniej się śmiać. Stałam się widzialna. Do tej pory, jakby mnie nie było. Ale ciężko jest wrócić do świata, z którego odeszło się w zapomnienie. Tym bardziej, że on wcale mnie nie widział.

Gdy w drodze powrotnej graliśmy w karty, poprosiłam go, żeby mi wytłumaczył. Chciałam, by poczuł się ważny i mądry. Wyśmiał mnie i powiedział, że bym przypatrzyła się jak on wygrywa. Nie wygrywał. Tylko tak mówił. A ja zachwycałam się każdym jego słowem. Zaczęłam ograniczać się do cukierkowych westchnień i mydlanych spojrzeń. Ukradkiem się do niego uśmiechałam. Gdy nie patrzył, spoglądałam na jego idealne rysy twarzy. Tylko raz zobaczyłam w jego oczach ciepło. Autokar zatrzymał się na parkingu, a Marcel wybiegł z dużą butelką wody i zaczął polewać wszystkie dziewczyny. Mnie też zauważył. Zaczęłam uciekać. Gonił mnie dookoła parkingu. To była najwspanialsza chwila, jaką przeżyłam. W końcu złapał mnie za kark i wylał trochę wody na włosy. Udawałam, że jestem trochę zła. Ale się nie gniewam. Śmiałam się i byłam szczęśliwa. Myślałam, że stałam się wyjątkowa. Byłam tylko jedną z wielu, a on był panem nas wszystkich. Przez chwilę poczułam się wyróżniona spośród tłumu.

Powrót do szkoły był wspaniały. Wreszcie chodziłam tam po coś. Wstawałam o szóstej, by ułożyć włosy i zrobić delikatny i dokładny makijaż. Ale nie przeszkadzało mi to. Byłam dumna, bo czasami się do mnie odzywał. Ja starałam się być ciągle w jego polu widzenia. I zawsze przypadkiem na niego wpadałam. Bo to naprawdę był przypadek. Że mój zeszyt leżał na jego ławce. Że moje klucze od domu zgubiły się i znalazły obok jego plecaka. Że przełożyłam godziny w szkole muzycznej tak, by mieć przerwę wtedy, kiedy on ją miał. Przecież nie zrobiłabym tego celowo.

Marcel był inny. Grał na gitarze i doskonale radził sobie w szkole. Specjalnie dla niego przestałam uczyć się chemii. Pomagał mi na przerwach. Ale chyba mu się to nie podobało. Nie mówił mi „cześć” na ulicy. Oczekiwał, że zrobię to pierwsza lub że nikt tego nie robi. Byłby zadowolony. Ale ja często na niego wpadałam. Bo ścieżka rowerowa przebiegała obok jego domu, a ja musiałam dbać o kondycję. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jego paskudne opisy na gg. Był zakochany w Marzenie, która go odrzucała. Ja starałam się go pocieszać. Ale tym sposobem jeszcze bardziej się od niego oddalałam.

Czułam się co najmniej głupio. Nigdy nie sądziłam, że mnie też za spotka. Że będę chciała, żeby ktoś mnie przytulił. Że będę tęskniła za czymś, czego nigdy nie miałam. Że stanę się czynną uczestniczką for internetowych na temat pierwszych miłości. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zajrzę na stronę o sztukach uwodzenia, że w starych gazetach będę czytać artykuły, które nigdy mnie nie interesowały. Zaczęłam się siebie bać. To trochę surrealistyczne uczucie, nad którym niekoniecznie miałam władzę. Jak można planować przyszłość z konkretną osobą, która jeszcze o tym nie wie? Nigdy bym nie przypuściła, że znajdę się w kręgu ludzi których zawsze wyśmiewałam...

Nie poznaję siebie. Jestem w tej cholernej terażniejszości. Nie mogę niczego zmienić. Żyję i piszę to, co się dzieje. To jest mój pamiętnik, mój list do świata. Jeśli go czytasz, to odłóż. Zamknij. I tak niczego nowego nie wniesie do Twojego życia. Zwykła obyczajówka, którą czytają osoby bez wnętrza. Inni czytają kryminały lub powieści historyczne, jak mój ojciec. Inni w ogóle nie czytają, jak ostatnio matka. Ja czytam rzeczy bliżej nieokreślone. Piszę pamiętnik do życia, który będzie istniał pod statusem „opowiadanie”, bo o p o w i a - d a n i e brzmi bardziej przyziemnie. Pozew o szczęście. Swoje prawdziwe odbicie w moich zanikających oczach. Chcę wiedzieć, jak wyglądam. Obiektywnie spojrzeć na rzeczywistość, która mnie otacza. Tak, jestem córką alkoholiczki i pracoholika. Mam piętnaście lat. Dla przypomnienia, mam na imię Antonina. I co z tego? Banał jak każde inne wyznanie. Takich dzieci, jak ja są tysiące. Jestem bez pamięci zakochana. Jest zima. Chcę ulepić z Marcelem bałwana. Chcę, żeby po zajęciach w szkole mnie przytulił, chcę wreszcie poczuć czyjeś ciepło, którego tak bardzo mi brakuje. Też jest na II stopniu w szkole muzycznej. I uwielbia swoją gitarę. Czy tak wiele pragnę? Żeby usiadł kiedyś obok mnie na ławce i powiedział, że mnie potrzebuje. Nigdy nie miałam chłopaka. Większość koleżanek już się całowała. Ja pozostaję w sferze marzeń. I wiem, że to głupie, co piszę, bo każdy to przechodzi. Ale nie każdy musi udawać, że jest kim innym niż jest. Żyję w świecie idealnym. W objęciach miłości, która stwarza moją samotność.

Mama powoli nie daje rady.

– Mamo, błagam cię, przestań!

– Ooo... co ci znowu cho-chodzi?

– Do jasnej cholery, nie widzisz, co się dzieje? Nienawidzę cię. Jesteś najwięszą suką, jaką miałam okazję spotkać.

Zataczając się, objając o stół podchodzi do mnie i próbuje mnie przytulić.

– Odpierdol się, jebana kurwo – odpycham ją od siebie pchając tak, by uderzyła się o ścianę. – Nienawidzę cię, nienawidzę cię, nienawidzę cię.

Nie wiem, dlaczego to robię. Upokarzanie jej stwarza mi przyjemność, pozwala się odkłóć. Czasami mam ochotę ją pobić. Tracę panowanie nad emocjami i nie jestem w stanie nic z tym zrobić. Czuję wstręt do jej osoby i do wszystkiego, co z nią związane. Na widok czystej potrafię krzyknąć i staje się to niezależne ode mnie.

– Wiesz ty co, co ja ci zrobiłam, kochanie. Przecież nic nie piłam – każde jej słowo poprzedza czkawka i próba ułożenia ust w sensowny sposób.

– Jesteś alkoholizką. Pijaczką.

– To było tylko jedno piwo. Niecałe – próbuje pokazać na palcach, ile go było. – Tyci tyci – wkłada rękę za bluzkę, masując się po piersi. Nienawidzę, gdy tak robi. Już dawno przestała nosić staniki.

– Niczym nie różnisz się od tych spod sklepu.

– Których? – zaczyna się śmiać. – Laleczko.

– Spierdalaj.

Wychodzę z kuchni. Biegnę jak najszybciej mogę do swojego pokoju. Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę. Rzucam się na łóżko. Po chwili trzaskają drzwi od mojego pokoju. Zamknął je przeciąg. Matka zawsze wietrzy w całym domu, by nikt nie wyczuł. Wtulam głowę w Uszatka. Dlaczego. Pierdolić. Tylko co? Życie? Może siebie? To wszystko jest tak koszmarnie beznadziejne. Uszatku, pomóż. Przytul mnie. Ja chcę do mamy – wypowiadam mimowolnie. Chcę do tamtej mamy. Mamusiu. Tato, wróć. Tylko tatuś mi został. Niech weźmie rozwód. Zabijcie mnie. Już nie mogę. Powieki zaczynają mi pulsować. Serce znowu szybciej bije. Spadam na podłogę. Co teraz? Co z rękami. Latają jak szalone. Nic już nie widzę. Moja głowa! Muszę doczołgać się do biurka. Jestem cała mokra. Nie potrafię ustać na nogach. Spadają wszystkie zeszyty. Mam. Już trzymam. Między ołówkami i kredkami jest nożyk do tapet. Wysuwam go. Najpierw ostrożnie. Kieruję na nogę. Obok kostek na prawej nodze. Napinam skórę. Coś strzeliło. Czuję się lżej. Lepiej. Niech jeszcze trochę krwi upływie. Tak. Tak. Ślady są coraz większe. Podłoga ma coraz więcej drobnych plamek. Łzy ustępują. Jeszcze ręce. Tylko trochę. I tak noszę bransoletki. Żeby nikt nie zauważył. Znaczą

trzy kreski na lewej i dwie na prawej. Zlizuję spływającą krew. Jest już dobrze. Świat jest piękny.

Dzisiaj jest już łatwiej. Mama od rana udziela korepetycji, a tato odsypia wczorajszy dyżur. Pewna legenda mówi, iż zmęczony problemami człowiek spotkał Jezusa. Zapytał, dlaczego zostawił go samego z problemami. Jezus mówi, że był blisko. Lecz człowiek pokazuje ślady na piasku – to ślady pojedyncze. Jezus uśmiecha się – gdy było ci najciężej, niosłem cię na rękę, stąd pojedynczy ślad.

Świat został stworzony w niesłychanie harmonijny sposób. A życie bez cierpienia jest jak niedoprawiona zupa. Każdemu złu winni są ludzie, nie Bóg czy jakaś siła wyższa. Poza tym, każdemu jest w życiu na swój sposób źle. I każdy chciałby coś zmienić. Ale to nie jest jego wina. To media, telewizja i wszystkie reklamy fundują nam model szczęśliwej i kochającej się rodziny, wiecznych przyjaźni i dożywcotnich, wiernych miłości. Wmawiają nam, że każdy jest szczęśliwy. Kultura masowa nas ogłupia.

Skończyłam czytać drugą część *Dziadów* – „Kto nie doznał goryczy ni razu, Ten nie dozna słodczy niebie”. To pomaga. Ale czy wierzę w niebo? Nie wiem. Nie wierzę w Kościół (kościół). Chodzę na religię i nie odczuwam niczego poza zmęczeniem. Nikt nie ma prawa oceniać tego, czy byłam na mszy, czy nie. Nikt nie ma prawa kierować moim sumieniem i moimi poglądami. Zostałam wychowana w wierze katolickiej. I wierzę w Boga. Ale wierzę też w przeznaczenie. I telepatię, i medytację. Nie wierzę w siłę mantry, a jest jej stanowczo za dużo. Grzeszę? Owszem. Kilkanaście razy dziennie. I jeżeli wierzyć Dantemu, po wyliczeniu średniej, byłabym w samym środku piekła. Ale to nic. Poza tym wydaje mi się, że piekła nie ma. To twór wyobraźni albo raczej obraz, który trzeba przedstawiać ludziom – istotom ograniczonym. Szatan istnieje. Istnieje zło, a my nie możemy lekceważyć jego siły. Czasem możemy nawet nie zdawać sobie sprawy z tego, że jesteśmy opętani. Wydaje mi się, że to, co fundują nam wiadomości o opętaniach to bzdura. Opętane osoby to nie tylko te, które krzyczą i rzucają różnymi dziwnymi przedmiotami. To ostatnie stadium zła. Porażka szatana, który musi się ujawnić. A przecież tkwił w tej osobie od dłuższego czasu. Szerzenie zła, można powiedzieć, nie zależy jedynie od ludzi. To na nas spływa i musimy to robić. Bo tak przecież jest łatwiej. Tak więc szatan gdzieś jest. Istnieje wśród nas.

Czuję się fatalnie. Mam okres, rany, które nie chcą się zagoić i chyba kiepsko stoję psychicznie. Marcel mnie nie lubi. Za każdym razem, jak mnie widzi ucieka i udaje, że ma coś ważnego do zrobienia. W klasie nie odzywam się już do nikogo. Mam za to nowego pana od grania. Jest cudowny. Za każdym razem, gdy pochyla się nad fortepianem, czuję podmuch, który stwarza jego fantastyczne włosy. Ostatnio w ogóle nie graliśmy. Opowiadał mi o sobie. Pytał, czemu jestem taka zamknięta na świat. W pewnym momencie powiedział, że wolałby, bym była jego bliską znajomą niż uczennicą. A jeśli już muszę być jego podopieczną, powinnam wiedzieć, że jestem najlepsza ze wszystkich. On też jest najlepszy ze wszystkich. Ostatnio jest jedyną osobą, z którą rozmawiam. Nie wie o mnie prawie nic, ale jest w pewnym sensie opoką. Wiem, że tak naprawdę w niczym mi nie pomoże, ale nie można nastawiać się jedynie na branie. Pomaga mi samym swoim istnieniem. Tym, że po prostu jest. I nie musi nic robić. Wystarczy, że mam świadomość, że zawsze mogę przyjść na lekcję i na chwilę zapomnieć. W każdą niedzielę czekam na te pięć godzin, które spędzę z nim w najbliższym tygodniu. Czasami trzeźwieję i dochodzi do mnie co wyprawiam, ale wydaje mi się, że też mi się coś należy. Należy mi się szczęście. Przynajmniej w moim odczuciu i chorej wyobraźni, bo jeśli nic nie wskazuje na to, że będzie dobrze, to przynajmniej mogę się trochę oszukiwać. Nieważne w kim pokładam nadzieję. Wydaje mi się, że istotne jest jedynie to, że w ogóle jeszcze ją znam, a że nie za bardzo potrafię sobie z nią poradzić? No cóż... Ludzie mają różne odchyły.

Tato już wystąpił o rozwód. Czy wypada napisać: wreszcie? Jest w domu może dwa razy w tygodniu, ale nie ma nikogo na boku. Sprawdzalam kilkakrotnie. Powiedział, że boi się wyroku sądu. Jeżeli nie będę mogła z nim zostać, do końca życia będzie żałował decyzji o rozstaniu. Ale nie mógł postąpić inaczej. Zawsze trzeba próbować. Chyba specjalnie mnie to nie obchodzi. Nauczyłam się stwarzać barierę pomiędzy światem a mną. Czasami zastanawiam się, czy to wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Czy mama mogłaby nie pić? Ale nie wiem, czy chciałabym innego życia. To w zupełności mi odpowiada. Przyzwyczajenie jest krzywym odbiciem wygody. Wygodnie mi w obecnej sytuacji. Kłóczę się z matką kilka razy dziennie. Gdy jest wstawiona wyzywam ją najgorzej jak się da. Bawi mnie to, że nie może się bronić, że nawet nie może przeklinać, bo nie jest

w stanie wypowiedzieć litery „r”. Ja za to nie przebieram w słowach i mówię wszystko, co mam na myśli. Upokarzanie jej sprawia mi dziką satysfakcję. Cieszę się, gdy odnoszę zwycięstwo nad słabszymi. A matka jest słabsza i zawsze przegrywa. Pod wpływem alkoholu próbuje się do mnie przytulić. Odpycham ją i czuję się jeszcze lepiej. Nie wiem tylko, co sprawia mi większą przyjemność. Jej porażka, czy poczucie, że jestem mocniejsza? Wpadam w histerię. Tak, czasem mi się to zdarza. Ale tylko wtedy, gdy uzmysłowię sobie, że to jednak moje życie i moja mama. Nie matka, a mamusia, która po prostu zblądziła. Wtedy proszę ją, żeby przestała pić. Mówi, że to ostatni raz. Ale nie czuje swoich słów. Mówi tak, żebym się odczepiła i nie brudziła jej sumienia, które niestety jest w zupełności czyste. Czasami zdarza się jeszcze, że jest trzeźwa. Przychodzi do mojego pokoju i pyta, co mi zrobiła, że jej tak bardzo nienawidzę. Przytulam Uszatka i płaczę. Nikt mnie nie kocha, jestem samotna, nie chcę iść do domu dziecka. Mówię, że jest mi przykro, że nie spełniłam wymagań mamy. Że nie jestem tą dziewczyną, o której ona marzyła. Przepraszam. Niech mnie wymieni na kogoś, kogo pokocha i będzie chciała. Kto nie będzie dla niej ciężarem. Jestem dobrą aktorką, a życie nauczyło mnie, że zdolności trzeba wykorzystywać. Mama wtedy mięknie. Przeprasza, ale tak na poważnie. Wiem, że jej przeprosiny i obietnice nie są nic warte, ale przynajmniej tym razem coś czuje. Jest jej przykro. Ale gdy pytam, dlaczego to robi, udaje, że nic się nie dzieje i wszystko jest w porządku. Że wcale nie pije, tylko mi się coś wydaje. A ja wpadam wtedy w histerię, bo nie lubię, gdy wpiera mi coś, co nie jest prawdą. Wiem, że powinnam jej pomóc. Wspierać ją i rozumieć, że każdy może zblądzić. Niezdany egzamin na mamę nie przekreśla tego, co jeszcze może się wydarzyć. Powinnam porozmawiać z rodzicami. Na spokojnie. Ale ja tego nie chcę. Zrobiłam się zbyt wygodna. Albo po prostu nie chcę, by było inaczej. Może jestem stworzona do szerzenia zła? Nie ukrywam jednak, że brakuje mi jej dotyku, od dwóch miesięcy nikt nie czuł mojego ciepła. Dziewczyny przytulają się do siebie, gdy jest im zimno. Ja siedzę na uboczu. Zrobiłam się trochę zgorzkniała. Żyję spojrzeniem Marcela, oddycham fortepianem. Czasami mam różne odchyły. Próbuję trochę poszaleć. Idę wtedy na koncert. Spotykam wielu ciekawych ludzi, skaczę, śmieję się i jest mi cholernie dobrze. Tracę jakąkolwiek świadomość, przypominam sobie, ile mam lat i dociera do mnie, że mam prawo do beztroski. Kolorowe światła,

srebrzysta kula, wrzaski do mikrofonów kasują moją pamięć. Uwielbiam dobrą zabawę. Ostatnio nawet jedna dziewczyna zapytała mnie, skąd biorę tyle energii. Powiedziałam jej, że żyje się po to, by brać pełnymi garściami – „Żyć szybko, umrzeć młodo”. Była zafascynowana tym wszystkim, co opowiadałam jej o swoich znajomych. Nie zauważyła, że streszczałam jej pewną opowieść. Rzeczywiście, miałam wtedy dużo energii. To tak, jakbym stawała się kimś innym. Lubiłam ten stan. Tylko ja i moje ciało. I energia, która zastępuje tlen. Lubiłam skakać i się wygłupiać. Czułam, że jestem nastolatką, że nie mam zbyt wielu problemów i że żyje mi się dobrze. Wrzucić na luz, a będzie wszystko wporzo – wpajałam znajomym. Tam byłam królową imprezy. Swoistym fenomenem, o którym nikt nic nie wie.

Kilku chłopców prosiło mnie nawet o chodzenie. Trochę się nimi bawiłam. Owszem, cieszyłam się, że ktoś jest mną zainteresowany, ale nie o takie zainteresowanie mi chodzi. Gdybym zgodziła się na stworzenie pary z którymś z nich, postąpiłabym nie fair. Musiałabym cały czas udawać i być kimś innym. Poza tym wciąż byłam zakochana w Marcelu. Chciałam udowodnić, że też mogę krzywdzić. Słodki uśmiech, palec na ustach, ściszony głos z delikatną chrypką, a facet zaczyna ślinić się jak niemowlę. Wystarczy błędzić palcami po szyi, a ten nie wie, co ze sobą zrobić i wychodzi do toalety. Nie było mi ich szkoda. Dobrze im tak. Muszą się nauczyć panowania nad sobą. Nawet najbardziej prymitywne istoty powinny odczuwać respekt przed tymi większymi.

Rano wróciłam do siebie. Leżałam przybita nawałnicą wszystkich strat i porażek, które poniosłam. Tato wyjechał gdzieś na tydzień. Napisał mi esemesa, że mnie kocha i tęskni. Nienawidzę się. Spieprzyłam sobie całą przeszłość. Przyszłość tworzy się przez terażniejszość, której nie miałam. Tuliłam Uszatka i próbowałam powstrzymać łzy. Jestem tylko małą dziewczynką, która potrzebuje miłości. Tak bym chciała, żeby ktoś mnie przytulił. Nie jestem zła. Zboczyłam tylko z trasy. Boże, jeśli istniejesz, pomóż mi albo zabierz mnie do swego królestwa. Ręce znowu zaczęły mi się trząść. Nie chcę tego robić. Nie powinnam, może jestem komuś potrzebna. Tak, to będzie ostatni raz.

Jak zwykle zaczęłam od nóg. Nacięłam trochę skóry powyżej kostki. To sprawiało największą frajdę. Tam skóra jest tak fajnie napięta, że jak się ją przecina, to słychać, jak pęka. Potem lewa ręka. Ale delikatnie, żeby się szybko goiło. Jeśli rany utrzymują się długo, nie da się grać.

A gdybym nie grała, nie miałabym po co żyć. I jest już całkiem dobrze. Pakuję plecak i idę do szkoły. Jak gdyby nigdy nic.

– Czy nie możesz się wreszcie odczepić? Myślisz, że wszystko ci się należy?

– O co ci do licha chodzi? – zapytał Marcela, który od kilku minut próbował mi coś wmówić.

– To, że ty jesteś zimna jak lód, nie znaczy, że inni też nic nie czują. Wyobraź sobie, że w przeciwieństwie do ciebie, ja mam serce.

Czułam, jak wszystko we mnie paruje. Jakiś czas temu minęło pół roku, jak doszłam do wniosku, że jestem w nim zakochana. Ktoś, kto ma serce, z pewnością by to zauważył.

– Mylisz się – odpowiedziałam w złości. Byłam bliska oznajmienia mu, co czuję – to ty jesteś z kamienia. Nie widzisz najprostszych rzeczy. Nie dostrzegasz wokół siebie piękna.

– Jesteś beznadziejna – wykrzyczał mi prosto w twarz. – Nie widzisz, że próbuję cię unikać, a ty za wszelką cenę chcesz utrudnić całą sprawę i robisz wszystko, by mnie upokorzyć.

Zabolało mnie to stwierdzenie. Sam przyznał się do tego, że mnie unika. Miałam ochotę się rozplakać, ale po porannej sytuacji, chyba brakowało mi łez.

– Jeśli ktoś kogoś tu upokarza to z pewnością nie ja ciebie, a ty mnie. Bo to właśnie ty mnie unikasz i robisz wszystko, bym czuła się wyobcowana. Nie zauważasz, że może być mi przykro – zniżyłam się do ukazania swoich myśli.

– Tobie? Gdyby było ci przykro, znaczyłoby to, że masz jakiegokolwiek pozostałości po sercu. Zauważyłabyś, że zakochałem się w bezdusznej skale.

Popatrzył na mnie z wyrzutem. Jeszcze przez chwilę próbował odgadnąć, co mówią moje oczy, ale już po chwili spuścił wzrok i odszedł. Tłumy na korytarzu przemieszczały się niczym mrówki w mrowisku. Nie wiedziałam, co mam robić. Chciałam za nim biec, ale coś kazało mi zostać w miejscu. Przeszył mnie straszliwy ból. Marcel? Niech tu wróci i mnie przytuli. Czekałam na niego długo, jak bezduszna skała. Czy nią byłam? Bardzo bym chciała.

Po lekcjach miałam granie. Chciałam porozmawiać z panem o tym, co się dzisiaj stało. Był moją przejściową przyjaciółką. Gdy potrzebowałam się wyzalić, miałam Uszatka, gdy potrzebowałam rozmowy miałam pana. Czasami miałam ochotę stanąć z boku i popatrzeć na to, co

wyprowadzam. Byłam w totalnej rozsypce. Chęć posiadania kogoś bliskiego sprawia, że zaprzeczamy sami sobie i robimy wszystko, by otrzymać to, co w naszym odczuciu nam się należy. Weszłam do klasy. Powiedziałam „dzień dobry”, przeprosiłam za spóźnienie i usiadłam do klawiatury. Bez zastanowienia zaczęłam grać początek „Pawany da zmarłej Infantki” Maurycego Ravela. Nachylił się nade mną. Położył swoje dłonie na moich, oparł głowę na moim ramieniu i powiedział, żebym przestała się denerwować. To dziwne uczucie. Nie ruszałam się. Chyba nawet na moment wstrzymałam oddech. Byłam skrępowana jak nigdy dotąd, ale było mi dobrze i chciałam, by ta chwila potrwała nieco dłużej. Wreszcie poczułam się bezpieczna. Wszystko jakby się rozluźniło. Jakby pękł sznur, który zatrzymywał wszystkie moje procesy życiowe. Położyłam głowę na klapie fortepianu i zaczęłam płakać. Dostawił krzesło i usiadł obok mnie. Gładził mnie po włosach, a ja wreszcie poczułam, że nie jestem tak beznadziejnie samotna.

– Wiesz, czasami wydaje się nam, że jesteśmy sami na świecie i że nigdy już nie będzie lepiej. Pamiętaj, że każdy nastolatek skupia się na swoim cierpieniu, swoim problemie. Zwykle widzi go ogromnym. A tymczasem można odczuć ulgę, gdy się przyjrzyj innemu, którym ty możesz pomóc. Zrób coś dla innych. Niektórzy mogą cierpieć bardziej, pomyśl sobie, że tak naprawdę w twoim życiu jeszcze wszystko może się wydarzyć. Bądź dobra dla innych, pomagaj im nawet w największych blahostkach. Poprzez dobroduszość stajesz się lepsza, a im jesteś lepsza, tym jesteś mądrzejsza, a im więcej wiesz, tym lepiej radzisz sobie ze sobą.

Podniosłam głowę i spojrzałam na jego mądrą twarz. Chyba nawet się uśmiechnęłam.

Wpadłam do domu myśląc o szczęściu, jakie posiadam. Szczęściem jest docenianie siebie i ludzi wartościowych. Mam wspaniałego tatę, któremu wszystko zawdzięczam. Wraz z jakimś gitarzystą, będę grać w tym roku na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie. Nauczyciele stwierdzili, że mam doskonałe warunki głosowe i wręcz wirtuozowski styl gry, którym trzeba się chwalić. Tak więc będę i grać, i śpiewać. Co prawda jestem za młoda, by jury mogło mnie docenić, ale przynajmniej będę mogła się pokazać. To będzie moje pierwsze pięć minut, które zadecydują o tym, co dalej. Pozwolono mi wybrać utwór rozrywkowy, który chcę wykonać. Gitarzysta podobno się dostosuje. Wybrałam „Biały latawiec” Waweli. To ulubiona piosenka

taty. Boże, jaka jestem szczęśliwa. Mama jest w pokoju obok, chałturzy udzielając korepetycji. Jest fantastycznie. Nie mogę się doczekać, kiedy tato wróci, zawdzięczam mu wszystko. Dał mi muzykę. Był jedynym nauczycielem, który coś stworzył. Kocham go najmocniej na świecie. Kiedy wróci do domu?

Telefon. W całym pokoju rozbrzmiewa walc z „Amelii”, który ustawiłam sobie jako dzwonek. To tato!

– Tosiu... – mówił jakoś dziwnie. Nie potrafił wypowiedzieć słowa.

– Tato, co się stało? – czułam, że jest coś nie tak. Ścisnęło mnie za gardło.

– Zaopiekuj się mamą. I pamiętaj, że kocham cię najmocniej... na świecie. Graj...

Telefon się wyłączył. Trzymałam go w ręce jeszcze przez dłuższy czas. Wyobrażałam sobie różne rzeczy. Chyba czekałam, aż wszystko się ułoży i do mnie dotrze. Przez chwilę miałam wrażenie, że to tylko zły sen. Za moment wszystko się zatrzyma, a potem cofnie i znowu będę szczęśliwa. Upadłam na podłogę i zaczęłam płakać. To właśnie zwykle określa się mianem końca. Najbardziej na świecie chciałabym odejść od chwili obecnej, wrócić do zeszłego tygodnia i móc go przytulić. Zabronić mu wyjechać. Albo być tam razem z nim. Razem zderzyć się z ciężarówką i próbować złapać oddech pod zapadniętym dachem samochodu, którego nie da się odtworzyć. Mam jeszcze wrażenie, że zaraz wejdzie do domu i przytuli swoją małą Tosieńkę. Tak, wejdzie, zapyta jak idzie mi granie, jak w szkole, co z mamą. Zapyta, czy bardzo tęskniłam, da mi jakiś prezent i będzie fantastycznie. Tylko mała Tosieńka jest już duża, a tatuś nie wejdzie. Już go nie ma. Ty, co czytasz to o p o w i a d a n i e czy czuleś kiedyś stratę samego siebie? Już chyba nie mam dla kogo żyć. Tatusiu mój najukochańszy, najwspanialszy, jedyny. Zabierz mnie ze sobą. Odetnij mnie od świata. Najbardziej boję się, że zapomnę. Jak wyglądałaś, co lubiłaś jeść. Chcę o tobie pamiętać. Niepamięć to siostra samotności. Czy będziesz o mnie pamiętać? Tato! Tato, wróć. Wracaj do domu. Nie dam rady sama. Nie mam już nikogo. Nie chcę tak żyć. Nie wytrzymam bez ciebie. Pęknięcie z poczucia bezradności. I nikt już nigdy nie zagra ze mną w duecie tak niesporzycie idealnym, nikt nie powie mi prawdy. Nie zostawiaj mnie. Pustka, która pozostała w moim sercu już się więcej nie zagoi. Jednak brakuje tego jednego elementu. Obawiam się, że nie jestem w stanie przelać tego na papier. To zbyt silne uczucie, by móc je tak po prostu

opisać. Chęć wyrwania się z ramion, które tak naprawdę mnie nie trzymają jest tak mocna, że czasami zastanawiam się, czy to dopiero ja, czy już moje odbicie.

Stałam przed trumną i nic już nie czułam. Widziałam tylko jego twarz. Zamknięte oczy, które jakby za chwilę miały się otworzyć i rozplakać. Przytuliłam się do jego zimnego policzka. Chyba poczułam, że coś się nieodwracalnie skończyło. Kiedyś wyobrażałam sobie, że będzie mnie prowadził przed ołtarz do ślubu. Szłam z mamą i dziadkami. Już nie poprowadzi mnie przed ołtarz. Może będzie z niego spoglądał. Tak strasznie mi czegoś brakowało. Ksiądz powtarzał wyuczone regułki. Kątem oka widziałam współczujące spojrzenia, które tak naprawdę nic nie rozumiały. Nie miałam siły wstawać i klękać na komendę. Siedziałam zawinięta w czarny szal. Chciałam położyć głowę na czyimś ramieniu. Chciałam się gdzieś schować. Ukryć swój żal do świata. Ślepo patrzyłam na barokowe kolumny. W pewnym momencie wydarł się ze mnie przeraźliwy krzyk. Coś zaczęło się odrywać. Nie panowałam już nad sobą. Padłam na kolana i po raz pierwszy w życiu zaczęłam się modlić: „Pod Twoją obronę, uciekamy się Święta Boża Rodzicielko, naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych...”. Czułam rozmowę z Bogiem, której pośredniczył tatuś. Miał mi do powiedzenia coś ważnego. Chyba jednak to się skończyło. Nadszedł kolejny etap. To nieprawda, że odszedł. Dopóki będę przywoływać wspomnienia o nim – będzie żył. Nieważne, że tylko w mojej pamięci. W końcu wszystko ucichło. Było ciemno i zimno. To nie byłam już ja. Czułam się obca we własnym ciele. Może właśnie się zmieniłam? Może odbiłam się od dna. Na cmentarzu nic do mnie nie docierało. Stałam. Stałam. I stałam. I wszystko działo się jakby obok mnie. Ludzie podchodzili, mówili, że im przykro i wracali do domu. Chciałam zobaczyć, jak zakopują trumnę. Trzymałam w ręce ziemię, ściskałam ją najmocniej, jak mogłam. To był nowy dom taty. Może będzie mu tam lepiej... Przywołałam wspomnienia. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Spojrzałam na drewniane pudło, w którym zostało zamknięte moje dotychczasowe życie. Wokół nie było już nikogo. Pod brzozą stała mama. Ręce same ułożyły mi się do grania. Na rozkopanej ziemi zagrałam „Love story”, pierwszy utwór, jakiego nauczył mnie tato. Bardzo Ci za to dziękuję. Coś się zmieniło. Spojrzałam na mamę. Złapałam jej spojrzenie. Teraz stałą się najbliższą mi osobą. Podniosłam głowę ku niebu. Gdzieś w głębi duszy wierzyłam, że tato tam jest.

Nie miałam już potrzeby płakać. Czułam po prostu pustkę. „Każdy przecież koniec, to tylko ciąg dalszy” – przypomniało mi się, jak tato powiedział mi to, gdy rozpaczalam nad różnymi stratami. Po prostu brakowało mi jego mądrych rad. I samej świadomości, że mogę po prostu przyjść i się powyglupiać. Mógłby choć na chwilę się pojawić. Zawsze jest nieodpowiedni moment na rozstanie. Przy życiu trzymała mnie chyba tylko nadzieja.

– Przepraszam – mama pochylała się nade mną. Wyglądała inaczej. Może wreszcie coś rozumiała. – Chodź do domu. Tu jest zimno.

Nie pamiętam zapachu taty. Budzę się w nocy i czekam, aż wróci z dyżuru. Wciąż mam wrażenie, że jednak wróci. Nie dopuszczam do siebie świadomości. Wolę niewiedzę i swoje urojenia. Nie chcę spotkać się z rzeczywistością. Spoglądając w okno, otwierając drzwi widzę tylko jeden obraz. Boję się. Gdy patrzę na drewniane ramki na ścianach ogarnia mnie przeraźliwy lęk. Głos ciszy zaczyna mnie przytłaczać. Czuję jego objęcia, a nagle przytomnieję i nie czuję już nic. Raz, dwa, trzy, dziś umrzesz ty. Bęc. Wieczorami znowu czuję, że zaraz wróci, zdarza mi się podchodzić do drzwi i czekać. Z jednej strony wiem, z drugiej po prostu wierzę. Nauczyłam się przebaczać. Nie zapomniałam, co wyrządziła mi mama, nie zapomniałam, jak bardzo przez to cierpiałam. Ale nie zapomniałam też, że dała mi życie. Poza złem pamiętam też dobro. Należy wybaczać. Możemy wiele razy popełniać błędy, ale tak samo wiele razy możemy zrozumieć, że robimy źle. Możemy starać się poprawić i dalej grzeszyć, ale musimy przebaczać. Jeśli tego nie uczynimy, nigdy nie zrozumiemy, jak wielka może być miłość do drugiego człowieka. Bo miłość tak naprawdę istnieje, tylko trzeba postarać się, by ją dostrzec. Nie jesteśmy idealni, a nie zauważając, że inni też nie są pogrążamy się w swojej beznadziejności. Doceniając drugiego człowieka dajemy mu szansę na lepsze życie. Lepsze życie kogoś bliskiego, jest także naszym lepszym życiem.

Jostein Gaarder pisał, że „widzimy wszystko jakby w zwierciadle, niejasno”. Niczego nie możemy być do końca pewni. Czasami gubię się w tych zmiennych kolejach losu. Zapominam, kim jestem i co robię. Jednak już po chwili dochodzę do wniosku, że wreszcie jestem sobą. Może nie taką, jak bym chciała. Wciąż czuję się nierozumiana. Ale taką mam naturę i lubię, gdy tak jest. Pewien bardzo mądry człowiek powiedział, że „prawdziwa Słowianka nigdy nie będzie tak naprawdę szczęśliwa, dopóki tak naprawdę nie będzie nieszczęśliwa”. A przecież

smutek to w pewnym sensie radość. A każdy koniec to rzeczywiście tylko ciąg dalszy.

Mama już nie pije. Przynajmniej nie chodzi pijana. Przestała palić i stara się być jak najbliżej mnie. Kocham ją. Najmocniej na świecie. Zastanawiam się, czy naprawdę aż tak dużo musiało się zdarzyć, by rozumiała swój błąd. Może gdyby nie piła, tato nie musiałby wyjeżdżać, a wtedy nic by się nie stało. Nie jestem tylko pewna, co byłoby wtedy ze mną. Zostałabym z przepijającą każdy grosz matką czy nałogowo pracującym ojcem? Może przenieśliby mnie do jakiegoś domu dziecka, albo do Babic, gdzie każdy by się nade mną litował. Być może taka postać rzeczy jest prawidłowa. Nie spojrzę w lustro i nie dowiem się, co by było gdyby. Cieszę się, że tato był przy mnie przez piętnaście lat i ani razu mnie nie opuścił. Był dobrym ojcem. Dalej pójdę swoją drogą.

Kraków to jednak magiczne miasto. Mama została na sali PWST, chyba stresuje się bardziej ode mnie. Właśnie siedzę w „Nowej Prowincji” na Brackiej, obserwuję przemijające ulicą tłumy, sączę sok pomarańczowy i zajadam się szarlotką. Gdy byłam tutaj ostatnio z tatą, doszedł do wniosku, że to miejsce to jedynie skupisko rupieci, kurzu i pseudoartyzmu. Wyśmiał mój stosunek do rupieci, które – jakby nie było – nadają charakter temu miejscu. Dla mnie jest to magiczna kawiarnia. Patrzę na portret Szymborskiej, stare pianino, na którym podobno grywa Turnau. Tak, tu chciałabym zostać. Nie wiem, czy się denerwuję, czy nie. Bardziej od samego występu przeraża mnie świadomość, z kim będę grać. Zawsze mówiłam, że nieświadomość jest lepsza. Gitarzystą okazał się Marcel. Nie wiem, czy to zrzęczenie losu, banał przeznaczenia czy po prostu głupi przypadek. Myślałam, że mi już przeszło, a jednak to uczucie wróciło. Na próbach było w porządku, prawie nie rozmawialiśmy. Unikał mojego wzroku jak ognia. Oboje stwierdziliśmy, że piosenka wychodzi nam całkiem niezłe, więc nie będziemy już więcej ćwiczyć. Po cichu liczyłam, że zaprosi mnie na spacer. Mamy jeszcze półtora godziny. Nie zaprosił. Uciekł z mojego pola widzenia. Może to i dobrze? Właśnie doszłam do wniosku, że jestem artystką. Artyści potrafią sami stworzyć piękno i nie potrzebują czerpać jego siły z innych jednostek.

Przed wejściem na scenę w ogóle nie rozmawiałam z Marcelem. Dał mi delikatnie do zrozumienia, że to, co mówił dawno temu na szkolnym korytarzu straciło już datę ważności. Przed zajęciem miejsca

do grania też na mnie nie spojrzal. Światło raziło mnie po oczach, nie widziałam widowni. Miałam skostniałe z zimna palce i cała się trzęsłam. A jeśli coś nie wyjdzie? Chyba dostałam chrypki. Przez moment ujrzałam portret ojca. To, co zaraz uczynię będzie zadedykowane specjalnie dla niego. To mój pierwszy krok na dużej scenie. To jego pierwsze zwycięstwo. Nasz wspólny sukces. Fortepian ustawiony był bokiem do publiczności, na wprost krzesła, na którym miał usiąść Marcel z gitarą. Mogłam spoglądać na jego prawy profil. Zachęcające brawa. Usiedliśmy. Ze strachu zapomniałam nut.

– e, fis, cis, e – zagrał i nagle przerwał. Widziałam, jak powoli odwraca się w moją stronę.

– Tosiu, Kocham cię.

Nie było mnie stać na żadną sensowną odpowiedź. Powiedział to głośno. Część sali cicho poklaskiwała, niektórzy chyba się śmiali. Spuściłam głowę, nie powinien tego mówić. Zaczęliśmy.

„Białym latawcem dzień wypłynął
Nad wzgórzami biała sukienka
Sen się skończył ale nie miłość
Stoi w oknie stoi panienka...”

Miałam przed oczami wszystkie wydarzenia minionych lat. Czy mamy z Marcelem jakieś szanse? Grałam i śpiewałam tak po prostu. Już się nie denerwowałam, byłam spokojna, bo właśnie czegoś w moim życiu przybyło. Może świat tego nie zauważy, bo takich ludzi jest więcej, każdy zachwycą się prostotą dwóch zwyczajnych słów. Początki bywają różne, koniec jest nieunikniony, a to, co jest pomiędzy nazywamy szczęściem, które pozwoliło nam zobaczyć to, co na początku było nieosiągalne i dotrzeć do tego, co pozwoli nam zakończyć krótką, banalną historijkę.

„Płyną, płyną, płyną nad ciszą
Pewnie siebie już nie usłyszą
On ją woła ona nie słyszy
Sen bezseny sen ją kołysze
On latawcem białym na niebie
Ona płynie dokoła siebie
Płoną chmury w pijanej bieli
Rozpłynęli się rozpłynęli...”
– Marcel? Ja ciebie chyba też.

IZABELA KAWCZYŃSKA
godło „phobos”



I nagroda w kategorii prozy

IZABELA KAWCZYŃSKA urodziła się 17.09.1980 r. w Łodzi. Pracuje w Antykwariacie Enima w Łodzi. Tworzy w nurcie poezji konfesyjnej. Laureatka kilkunastu konkursów literackich, m.in.: „Krajobrazów Słowa” (2007 i 2008 r.), „Miłość niejedno ma imię” (2007 r.), im. Kazimierza Ratonia (2008 r.), „Mojej Małej Ojczyzny” (2007 r.), im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (2008 r.), im. Haliny Poświatowskiej (2008 r.), im. Zbigniewa Herberta „O liść konwalii” (2008 r.), im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej (2008 r.). Publikowała na łamach „Odry”, „Frazy”, „Akantu”, „Cegły” i „Pogranicza”. Autorka tomiku: „Luna i pies. Stolarna soldateska” wydanego w 2008 r. Jej wiersze znalazły się również w antologii wierszy łódzkich debiutantów „Na grani”.

BARKA

Chłopiec przestępował z nogi na nogę. Miał wygląd lalki. Z głową wielką jak globus, skórą żółtą i lśniącą, z parą szklistych oczu świdrujących świat bezrozumnym spojrzeniem.

Kiedy mówił, powoli cedził słowa, które wpadały w wodę jak kamień rysujący na tafli coraz większe kręgi. Przy każdym dźwięku wargi chłopca wywijają się na zewnątrz, nadając twarzy śliski, rybi wyraz.

Morze leżało przed nim, czujne niczym zwierzę, spazmami fal lasiło się do stóp. Ścieliło się do snu pasem jedwabiu, skrzyło spłowiałą, złą zielenią; świeciło w ciemności niby oko samy, struchlałej z przerażenia, czekającej na błysk ostrza jak na błyskawicę.

Chmury stawały się ciężkie jak brzuchy ciężarnych kobiet. Powietrze drżało z napięcia. Zbierało się na deszcz.

Na białej plaży skulone, dziewczęce ciało to poruszało się, to trwało w bezruchu niczym jaszczurka o srebrnej szyi gotowa zagrzebać się w piasek lub czmychnąć w przybrzeżne zarośla, jeśli na chwilę spuścić ją z oczu.

Mimo obecności dziewczyny, chłopiec czuł się samotny bardziej niż zwykle. Ślina kwaśniała mu w ustach; wypluta przypominała barwę łebki wrzaskliwych mew w opiętych, lśniących czepkach, kołujących nerwowo nad zimną, ciemną tonią.

– W życiu nie wszystko idzie po naszej myśli, jak wreszcie dorosisz to sama zobaczysz. Posłuchaj mnie przez chwilę, słuchasz?

Dziewczyna nie słuchała. Wyjęła z kieszeni kamyki znalezione w trawie, obracała je w palcach; były wilgotne i ciężkie, schowane w sobie jak żółwie w skorupach. Dotykała ich długo, rzeźbiła paznokciami, w skupieniu badała gładką strukturę, materię osobną, spoistą i twardą.

– Czy kamienie można oswoić? – rzuciła jakby mimochodem.

Wyraz jej twarzy ginął w ciemności, gęstej jak włosy, i chłopiec nie umiał ocenić: gniewa się czy żartuje. Westchnął rozdrażniony i z wahaniem, jakby wbrew sobie, przykucnął obok dziewczęcej postaci, skulonej jak osaczony kot.

Noc wspinała się na tęczówki pełne rys i plamek, cisza leniwie wsiąkała w źrenice. Po molo parami chodzili ludzie; zakochani splatali spocone dłonie. Wiatr niósł od wody zapach soli i ryb, z którego, niczym fałszywy dźwięk, wybijał mdlący fetor gnicia.

Morze w wielorybim brzuchu rozkładało i trawiło wszechświat. Pod mulem, olejem i szlamem glony, rozkwitłe jak jedwabiste kwiaty, poruszały mikroskopijnymi pyszczkami, z których tlen unosił się w górę, płynął do płuc i z płuc, lekki niczym oddech.

Węgorze, nażarte i tłuste, srebrzyły się przy dnie, roznosząc światło księżycy jak lunatyczną chorobę. Migotanie przeglądało się, niby w zwierciadłach, w równych rzędach łusek; błyski porozbijane na tysiące odłamków wynurzały się z wody, a każdy ranił oczy boleśnie niczym haczyk.

Nieruchomą taflę przecinały, jak ostrza, cienkie witki wędek. Robaki, wydłubane z wnętrzości ziemi, wiły się w spazmach, opowiadając opowieść śmierci. Zaślinione ryby wypływały na wierzch. Mrugały i gasły srebrnookie gwiazdy. Kamyki rzucone w ciemność wpadały w wodę z głośnym pluskiem.

– Posłuchaj, tak czy inaczej z nami koniec – wargi chłopca drżały niczym skrzydła obłąkanych ciem, kosmatych motyli, które raniąc się i parząc, leciały samobójczo ku aureolom lamp, sterczących wyniosłe jak piersi ulicznicy.

Księżyc pojawił się znikąd, szklisty jak zęby świni. Cienie wydłużyły się mimowolnie. Gardła ptaków napuchły od pisku.

Dziewczyna milczała. Jej twarz przypominała mordkę kota; w półmroku lśniły obsydianowe oczy. Smagle uda lypały spod krótkiej sukienki, wabiąc ku miejscu gdzie ciemno i ciemniej.

Chłopiec z trudem przełknął ślinę. Napięcie pęczniało jak balon. W przydrożnych zaroślach jaszczurki kołysały się na boki, krocząc wyniosłe na tłustych, krótkich nogach.

Noc stygła jak świeży asfalt. Zakochani schodzili z mola na plażę; ocierali się o siebie jak zwierzęta, szukając ustronnych miejsc, w których piasek zmiażdży ich złotym ciężarem, pogrzebie.

Chłopiec śledził kątem oka ruchy mijających go ciał, przywartych do siebie, pozornie zrośniętych; wpatrywał się w kształty kobiet, do chwili gdy znikaly, wtapiały się w ciemność.

Zadrość powoli rosła w brzuchu chłopca, podchodziła do gardła, gotowa wydostać się z ciała, rozerwać skórę jak wściekła, głodna bestia.

Kumple z sąsiedztwa wypytywali, jaka właściwie jest ta jego Ola, a on nadal nie wiedział. Miesiąc zmarnować, tyle czasu – pomyślał – ale teraz z tym koniec.

Bo co z tego, że ładna, że nogi ma długie i zgrabne, co z tego, skoro jak pies za suką włóczył się za nią, a ona i tak odmawiała mu siebie: swego uczucia i ciała. I nawet teraz, w obliczu końca, pozostawała obojętna.

Gdyby chodziło o inną, mógłby naciskać i mamicić, bez zająknięcia wyznając miłość kłamstwem parzącym usta i rzęsy. Kiedy próbował tego z Olą, wzruszała ramionami, marszczyła zgrabny nosek i spoglądała na niego, jakby wcale nie był Pawłem-Casanovą, który „mógł mieć każdą” jak mawiali o nim okoliczni chłopcy.

Ale Ola nie była jak inne; zamiast kokietować i mrugać ślepiami błyszczącymi jak u dzikiego kota, patrzyła obojętnie i twardo, aż serce przeszywał bolesny skurcz.

Włóczył się za nią przez miesiąc; wygłodniałym spojrzeniem ślinił łydki; łakomym wzrokiem pożerał zęby obnażone w dziecięcym uśmiechu. Gdy o nią pytali, oblizywał spierzchnięte wargi i opisywał, gdzie ją brał i jak po wszystkim pachniała łąką i latem. Po każdym kłamstwie czuł, jak między nim a dziewczyną rosła obcość, puchła powoli jak nogi cukrzyka.

Ilekoć próbował pokonać niewielką odległość pomiędzy ich dłońmi, trafiał na przeszkody, bezkształtne, na wpół zmaterializowane, a jednak raniące ciało – zasieki, przez które przedrzeć się nie sposób.

Ola zdawała się nic o tym nie wiedzieć i nawet teraz, kiedy zamierzał odejść, milczała zajęta zabawą, w zapamiętaniu obnażając koniuszek języka, jedwabisty jak futro gronostaja.

Mewy wrzeszczały senne i zmęczone, szukając miejsca by przepłynąć noc; kamyk wpadł do wody z pluskiem; gwiazdy zwisały z nieba – ciężkie od mleka sutki.

Zmęczony bezradnością chłopiec nie wytrzymał; zaczął ryczeć jak osioł, wylewając z siebie nagromadzoną żalność i żółć.

– Tobie się roi, że jesteś lepsza niż inne, bo ładna, a wszystkie wy takie same i jedno macie między nogami, wielkie mi ceregiele. Ledwie ci cipa włosami porosła, a tobie się zdaje, że księżniczka jesteś wielka, ale poczekaj! Jeszcze ty do mnie na kolanach przyjdiesz, jeszcze mnie będziesz błagać, żebym zerknął na ciebie zechciał, a ja nie zechcę! I to ci jeszcze powiem, że jesteś głupia gęś, i z tego, że mnie wczoraj widziałas z Reną w krzakach, nie zamierzam się tłumaczyć. I żebyś to jeszcze wiedziała, że do niej dzisiaj pójdę, bo ją wolę od ciebie. Ona może i brzydka, ale przynajmniej wie czego mężczyźnie potrzeba. A ty siedź tu sobie do śmierci i rzucaj te głupie kamienie!

Roztrzęsiony odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie w ciemność, brnąc przez bładny piasek, który tłumiał szybkie, chwiejne kroki i pluski kamyków, co wpadały w wodę, w jej zimną, ciemną toń. Jeden i drugi, i trzeci, i plusk. Morze zraszało się powoli; niebo pokrywały małe, srebrne blizny, pomiędzy nimi noc goiła się śwędzącym strupem.

Dziewczyna została sama. Położyła się na brzegu, gapiąc się w niebo, gotowa stać się patrzaniem, niczym więcej, gotowa w trumnie piasku usnąć na zawsze, zamienić się w kamień lizany przez falę pomiędzy pyszczkami ciekawskich ryb, którym świerszcze przygrywały z zarośli na małych, krępych harfach.

Leżała, aż wszystko ustało, sprawy świata odpłynęły od niej i ucichły, i tylko morze szumiało rytmicznie, fala za falą, odwiecznym krwotokiem.

Kiedy mokra i zziębnięta wróciła do domu, wnosząc przywarte do skóry strzępki nocy, matka przyjrzała jej się z niepokojem.

– Oleńka, córeczko, co tobie? Nad morzem znowu siedziałaś, po polach, łąkach ganiałaś, ze zwierzętami mówiłaś, owady nocne wabiłaś. Dzikie, oj dzikie mam dziecko!

I tyle było w jej słowach miłości, smutku i prawdy, że dziewczyna skuliła się instynktownie jak spłoszony jeź.

Na spóźnioną kolację był suchy chleb i czarna zupa, ale Ola nie mogła jeść, brało ją na mdłości. Z talerza wystawała kurza łapa i wskazywała na nią różowymi szponami, jakby chciała jej skoczyć do gardła.

– Mamuś, co ja mam między nogami? – spytała i natychmiast zagryzła na wargach świszczące słowa, które kłuły ją w język, bolały.

– Nasienie szatańskie! Tobie pytać nie trzeba, w swoim czasie się dowiesz, po ślubie zobaczysz, aż ci obrzydnie.

– A tobie zbrzydło, Mamuś?

– Przestań dłużyć łyżką, jeszcze dziurę wydlubiesz! Na drugie nie czekaj, dzisiaj nic nie będzie.

W maleńkim pokoju, nie zapalając światła, Ola zdjęła cieniutką sukienkę i stanęła naga przed lustrem, zastanawiając się, co znaczy być ładną, i choć ze wszystkich sił próbowała, nie mogła zrozumieć.

Ogony wiewiórek są ładne – myślała – albo szyszki, co zielenią się w maju na drzewach; no i Mamuś, nawet czerwona nad balią, gdy pierze, a potem ceruje przy świecy rajtuzy, co je i tak od nowa podrę.

Paweł powiedział o Renie, że brzydka, ale dla Oli Rena była uosobieniem piękna. Nie miała mu za złe, że ją wołał; ona też by wołała mieć piegi wielkie jak tamta, policzki pyzate i krwiste, włosy gęste i żółte jak przypalone mleko. I żeby dużo jej było jak Reny, a nie jak zawsze: szary, chudy patyk.

Ola nie wiedziała, że w lustrze odbijały się kształty łani, smągła szyja ptaka, rzeźba ramion o barwie karneolu, miodna słodycz skóry, gotowej do drżenia pod dotykiem dłoni. W takie sprężyste, dziewczęce ciało Balthus oblekał niegdyś piękno. Z różowej muszli równie krągłych bioder wyrosła Wenus, bolesna jak perła.

Dziewczyna z lustra wyglądała jakby mogła rozmawiać z samami. Wodziła po skórze ręką, wędrując ku łonu, które wabiło palce nieśmiałą kępką włosów, miękkich niczym wełna, i zapytywała: co jest tam, pomiędzy?

Nie było odpowiedzi. Pokój zasypiał w milczeniu; obsydianowe plamki oczu lśniły, powieki rosły w powietrzu frędzlami drżących rzęs. Za oknem jęczyczki gwiazd cierpliwie zlizywały czerń nocy, aż wreszcie zlizwały do czysta i niebo zaświeciło dnem jak pusta, kocia miska.

Stary pływał na barce od zawsze. Nazywali go Starym, choć mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat. Przypominał zmarszczoną małpę. Jego skóra wysuszona od słońca i wiatru wyglądała jakby wyszła spod ręki garbarza.

Dzieci wytykały go brudnymi palcami wołając: Eskimos. Ola nigdy nie wołała, nawet kiedy była dzieckiem dużo mniejszym niż teraz; stała na brzegu, patrzyła jak płynął, jak sapały liny na wielkim holowniku.

To było bardzo dawno, zanim jej ciało zaczęło się zmieniać. Łono porosła jagnięca wełna; piersi wykluły się jak para skrzydeł zakończonych oliwkowymi guziczkami, które pęczniały pod cienkim ubraniem jak lepkie rozgwiezdy lizane przez falę.

Co to mogło znaczyć i czemu nikt prócz niej się nie dziwił – zastanawiała się Ola, niepewna czy kiedyś się dowie. Mówili, że po ślubie, ale ten wydawał się odległy jak bicie dzwonów i równie nierealny. A ona chciała wiedzieć teraz, zaraz!

Gnana gorączką biegła po lasach, pytała dziki i sarny, ale one milczały zwierzęcym milczeniem ocierając o jej dłonie podłużne, miękkie pyski. Wsłuchiwała się w melodię olbrzymich paproci, zielonych łopianów, a one śpiewały, szumiały, szeptały bajki o wszystkim i o niczym w swym mięsistym, roślinnym języku. A Ola puchła nieznośną niewiedzą i gnała dalej szukając odpowiedzi.

Raz nawet zakradła się w krzaki; chciała spytać Pawła, ale rzucił w nią kamieniem; Rena uciekła cicho popiskując.

Kto jak kto, ale Stary powinien wiedzieć – myślała Ola, dławiąc się pytaniem, które grzęzło jej w ustach, krążyło pod skórą, wbijało się w myśli miarowym, głośnym werblem.

Znał ją z widzenia, bo któż jej nie znał; kto w całym miasteczku mógłby przysiąc, że nie zauważył na wpół dzikiej dziewczyny o sarnim ciele, gładkoskórej nimfy w koronie gniadych włosów.

Ostatnio widywano ją z Pawłem, który choć ledwie zaczął się golić, zmajstrował dzieciaka przyjezdnej pannie.

Znaczy, że pewnie z tą też już zdążył – pomyślał Stary, ale pod cienką sukieneczną nie dojrzał wypukłości. – Kto ją tam wie, może jeszcze za wcześniej. Prędzej czy później zmajstruje, on czy kto inny; wszystkie one jednakowo głupie.

Dziewczyna usiadła na brzegu w pobliżu cumującej barki. O zmierzchu morze dostało wysypki, nakrapiane gwiazdami przypominało twarz chorego na ospę, całą w dziobatych bliznach. Rybitwy pluły krzykiem w niebo, a ona wyglądała jak dziecko, które coś trapi. Wstała, znów usiadła jakby się wahała; w końcu podjęła decyzję, podniosła się i weszła na pokład.

Kiedy szła, jej ciało przeżyło się jak brzuch pantery, i Stary, który pierwszy raz widział ją z bliska musiał przyznać, że była piękna, zwierzęco piękna i dzika.

Bezwstydnie jak dziecko spytała czy on wie co jest pomiędzy jej nogami. Zaskoczony zapytał czy robiła już miłość. Pokręciła głową. Przykucnęła skulona jak małe, czujne zwierzę, i zaczęła rzucać do wody kamienie. I jeden i drugi, i trzeci, i plusk.

Spytała, dlaczego on zawsze pływa przy brzegu i czy mogliby wypłynąć hen, na pełne morze.

– Gdybyśmy wypłynęli za daleko, moglibyśmy nie wrócić.

– Moglibyśmy? – zapytała z nadzieją.

Stary nie odpowiedział; spojrzął na nią kątem oka i wydała mu się jeszcze młodsza, i jeszcze ładniejsza, całkiem nierealna, smutniejsza niż dziewczynki na obrazkach, całe w koronkach z muślinu jak w pianie. Pamiętał; to były smutne bajki. O ojcu, który odchodzi i nigdy nie wraca, o kochankach, co wypłynęli w rozbujane morze, o miłości na wargach, gorącej i słonej.

W powietrzu puchł zapach ryb. Zmierzch, kołując jak mewa, osiadł na wodzie niby tłusta plama. Gwiazdy kwiliły w oddali jak niemowlęta, nagie i głodne.

– Ile ty masz lat, dziewczyno? – zapytał Stary, marszcząc poorane bruzdami czoło.

– Mamuś mówi, że przez większość czasu zachowuję się jakbym miała pięć: pryham i sapię albo fukam i kwiczę, jak puchacz hukam, jak nietoperz śpię, do góry, do góry nogami! – wyliczała, bujając się w rytmie barki. – Podobno szesnaście, ale nie pamiętam, żebym miała aż tyle urodzin. Zapytam łopianów, one mi wyszumią, albo dzików i saren, one mi wymilczą.

Stary wziął ją za rękę, dłonie miał ciepłe i miękkie. Wstała i spojrzała mu w oczy, obojętnie i długo.

Wargi mężczyzny stężały w okrutnym grymasie, białka nabiegły purpurą jak paszcze konających zwierząt, które oglądał niezliczoną ilość razy: obnażone w agonii podniebienia, przekrwione, miękkie podbicia, jęczyczki gronostajów kwitnące czerwienią niczym pole maków rozkołysanych na wietrze w swych mięsistych, krótkich spódniczkach.

Zastygł, napięty niby żmija, przyczajona i wściekła, gotowa do skoku. Trwało to tylko chwilę, po której jego twarz stała się podobna do pyska chytrej małpy; brutalnym ruchem chwycił dziewczynę i popchnął ku schodom.

Kiedy schodzili, krok za krokiem połykał ich milczący pokład.

W ciasnej jak trumna koi dziewczęce nogi walczyły jak dzikie zwierzęta, trzepotały i biły niczym skrzydła pochwyconego w sidła ptaka.

Walka to była straszna, potyczka bolesna do krwi. Potem wszystko ustało. I tylko barka kołysała się na wodzie lekko jak uspiiony łabędź.

TADEUSZ MIESZKOWSKI
godło „śliwka”

II nagroda w kategorii prozy



TADEUSZ MIESZKOWSKI mieszka w Warszawie. Zajmuje się pracą redakcyjną i przekładami literatury humanistycznej. Ukończył Wydział Geologii na Uniwersytecie Warszawskim. Posiada doktorat z teologii. Autor książek: „Ja i reszta” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984), „Jak było panoczku” (Verbinum, Warszawa 2003), „Rękopis znaleziony w barszczu” (Verbinum, Warszawa 2003). Laureat licznych konkursów literackich, m.in. w Głogowie (2004 i 2005 r.).

KILKA SCENEK Z ŻYCIA

ROZMÓWKI PRZY PORANNEJ TOALECIE

Kiedy się obudziłem, usłyszałem odgłosy pluskania się w łazience. Już w wannie? O tej porze? Dlaczego ona tak wcześnie wstaje. Przecież poszła spać o drugiej w nocy. Musi być jakiś gen wczesnego wstawania.

– Nie widzę nikogo, kto by mi umył plecy...

A ponadto telepatka. Skąd wie, że już nie śpię. Chyba, że powtarza to już od dawna. Wszystko jedno. Nici ze spania.

– Już idę...

– No już wystarczy... teraz do kuchni i śniadanko.

– Co? Do wanny?

W kuchni bałagan po kolacji.

– Co ci się śniło? – ona.

– Nie pamiętam.

– Musisz brać więcej miłorzębu japońskiego... kupię ci na imieniny... mnie się śniła fasola... co to znaczy?

– Nie wiem.

– Zobacz w słowniku... tym amerykańskim.

– Piszą, że... ale jaka... po bretońsku czy...

– Bez niczego... takie strąki... no wiesz... jak u cioci Jadzi na działce.

– Podróż balonem.

– Balonem? Ale gdzie?

– Tego nie piszą.

– A kasza?

– Co kasza?

– No, jak się śni.

– A śniła ci się?

– No nie, ale jestem ciekawa... lubię kaszę... no co?
 – Kasza? Zaraz... jest... wybuch wulkanu w najbliższym sąsiedztwie.
 – Co?
 – Wybuch wulkanu...
 – No słyszałam... ale jaki wulkan jest w najbliższym sąsiedztwie?
 – Bo ja wiem, sennik jest amerykański... gdzieś na Hawajach czy ja wiem...
 – To daleko?
 – Daj spokój... przecież ci się nie śniło... to o co chodzi.
 – A jak się przyśni?
 – Nie może ci się przyśnić skoro tutaj nie ma żadnego wulkanu w najbliższym, a nawet dalszym sąsiedztwie...
 – Eee... rozumiem... nie rozumiem.
 – Słuchaj, zaraz będzie śniadanie, a ja też chciałbym pójść do łazienki...
 – Czy ty byłeś w muzeum Tołstoja?
 – Nie wiem, gdzie jest muzeum Tołstoja...
 – Jak to gdzie, chyba w Związku Radzieckim.
 – Związku Radzieckiego już nie ma.
 – Nie? A co się z nim stało? Był taki duży i potężny...
 – Rozpadł się... wyjdiesz wreszcie z tej łazienki czy...
 – Znowu jakiś meteoryt czy co?
 – Rozpadł się politycznie... na różne państwa... i jest teraz Rosja.
 – A ja czytałam w encyklopedii, że Związek Radziecki i meteoryt tunguski...
 – To już nieaktualne...
 – To wyrzuc wszystkie stare encyklopedie żeby mnie nie wprowadzały w błąd...
 – Dobrze, ale najpierw ciebie wyrzucę z łazienki.
 – A co do tego muzeum Tołstoja...
 – Też z encyklopedii??
 – Nie. Od Beaty...
 – Jakiej Beaty?
 – No żony Waldka, widziałam się z nią w szpitalu i...
 – W szpitalu? A co ty tam robiłaś?
 – Byłam odwiedzić Roberta.

– Jakiego Roberta?
 – No tego co napisał książkę o homoseksualistach...
 – Tego pedała?
 – Nie pedała ale geja, kochanie geja.
 – Wszystko jedno... ale skąd go znasz?
 – Uratował mi życie na manifie.
 – Na manifie?!
 – No poszłam z ciekawości... zrobił się tumult... upadłam na ziemię i by mnie stratowali... ktoś mnie podniósł... przez jakiś czas mnie prowadził i zobaczyłam, że idę w pochodzie... z nimi... geje i lesbijki... transparenty... ale byłam półprzytomna... ledwie kojarzyłam – Kamila mówi to wszystko z twarzą w lustrze nakładając na siebie kolejne warstwy kremów i kosmetyków – i później to on dostał kamieniem w głowę; upadł, mocno krwawił i wtedy ja się nim zajęłam, zaprowadziłam do szpitala... no i okazało się, że to Robert... sympatyczny...
 – Pedał? Sympatyczny?...
 – No i jak wychodziłam ze szpitala to spotkałam Beatę...
 – Jaką Beatę?
 – No żonę Waldka.
 – Ona też do tego... Roberta?
 – Nie ona do Waldka...
 – To Waldek w szpitalu?
 – I jeszcze jak... poszłam razem z nią i żebyś go widział... cały obandażowany... jak mumia... tylko mu oczy widać... wcale go nie poznałam...
 – Co się stało?
 – Beata powiedziała, że pobili go chuligani... kijami baseballowymi...
 – Naprawdę tak powiedziała?
 – Tak... kiedy przyszliśmy do niego to pielęgniarka robiła mu właśnie zastrzyk przeciw wściekliźnie.
 – Co?!
 – Bo na dodatek poszczuli go psem... Beata mówiła, że jest okropnie pogryziony.
 – I co? Złapali tych chuliganów? I psa?
 – Skąd... ani śladu...
 – I nie złapią...

ZASKOCZENIE

Ostatnie spotkanie trzech przyjaciół z boiska. Dziennikarza Witka. Chemika Konrada. I historyka Mariana. Miało nieco inny niż zwykle przebieg.

U dziennikarza

– Może ci coś pomóc? – Konrad.

– Może pokrój trochę chleba... i do tego koszyczka... co Marian jest taki dziwny. Przyszedł, usiadł przy stole i ani słowa... zazwyczaj...

– No jeżeli z tego powodu, co i mnie jest nieśmieszno, to się nie dziwię...

– Co to za powód?

– Poczekaj zaraz się dowiesz.

– No jeszcze sałatka i zanosimy... możemy zaczynać... panowie co na uwerturę?

– Chyba requiem Mozarta – Marian.

– Albo marsz żałobny Chopina – Konrad.

– Co się dzieje? Skąd ten nastrój? Kogo mamy grzebać? – dziennikarz.

– Dzisiaj wywiesili w mojej uczelni listę tajnych współpracowników...

– Wczoraj zrobili to samo w mojej.

– No i co z tego... chyba was na niej nie ma?... No, co nic nie mówicie...

– Ja jestem.

– Ja też.

– Ech... to na pewno jakieś nieporozumienie... oglądaliście swoje teczki?

– Nie skąd...

– Do głowy by mi nie przyszło...

– Nie przejmujcie się... chyba nie byliście tymi... no?

– Jasne, że nie.

– A wiadomo co oni tam nawypisywali... mogli napisać wszystko co chcieli... żeby się wykazać...

– No właśnie i teraz tłumacz się, że nie jesteś wielbłądem...

– A może mieliście z nimi coś wspólnego... jakieś przypadkowe kontakty... Marian.

– No pewnie... musiałem mieć. Bez kwerendy za granicą nigdy bym nie

napisał pracy habilitacyjnej. Skąd miałem wziąć oryginały dokumentów z zagranicznych konferencji... Internetu jeszcze nie było...

– Ja też musiałem wyjechać za granicę żeby napisać swoją kluczową pracę... w naszych laboratoriach nie było nawet niezbędnych odczynników nie mówiąc już o aparaturze... do dzisiaj w produkcji moich preparatów korzystają z mojej receptury i mojej metody...

– No i...

– Jakies rozmowy przy paszporcie...

– Później po powrocie też... paszport trzeba było oddać...

– Ale chyba nic nie podpisywaliście.

– Coś tam podpisałem... że odbieram paszport czy coś takiego... zresztą nawet nie czytałem.

– Ja nic nie podpisywałem... na nikogo nie donosiłem... w ogóle mam czyste sumienie.

– Ja też...

– Najgorsze że nie wiadomo, jakie będą konsekwencje.

– Podobno w ustawie lustracyjnej jest żeby zwalniać.

– Panowie najważniejsze, że macie czyste sumienie spokojny sen... a reszta sama się jakoś wyjaśni...

– Tobie dobrze mówić, ale przecież nas dobrze znasz, w razie czego poświadczysz... że byliśmy w opozycji... że należeliśmy do Solidarności...

– Oczywiście że poświadczę... poświadczę, że obaj byliście tajnymi współpracownikami i to ponad wszelką wątpliwość profesorowie TW Jonasz i Radek... nie myślę się? Takie były wasze pseudonimy?

– Coś ty powiedział?!

– Skąd wiesz?!

– Bo jestem... byłem oficerem kontrolującym moich funkcjonariuszy operacyjnych prowadzących was od początku waszej zadeklarowanej na piśmie współpracy z esbe. Wystarczy?

CHWILA HISTORYCZNEJ REFLEKSJI

Wujek Rysiek był bezwyznaniowcem. Tak mówił kiedy pytano go o zawód. Był znawcą i wielbicielem koni. Jego głównym zajęciem była gra na wyścigach konnych. Jego pierwsza żona. Dziunia. Była malarką. Głównie pejzaże miejskie. Martwa i żywa natura też. W swoim czasie studiowała nawet na Akademii Sztuk Pięknych. Zaraz po wojnie

zamieszkali na Pradze. Na parterze. Na ulicy Konopackiej. Pewnego dnia wujek wprowadził do mieszkania na Konopackiej. Jednocześnie sypialni. Jadalni. Pracowni malarskiej. Kuchni. Konia. Wyścigowego. Maści karej. Wujek był trzeźwy. Koń lekko zawiany. Ale co cztery nogi to nie dwie. Wujek później wyjaśnił, że obaj wpadli do baru. I wypili półtora litra. Litr na łeb konia. Pół na łeb wuja. Tę dysproporcję wuj wytłumaczył w ten sposób: on musiał przejść przez całe miasto, ja musiałem go doprowadzić do domu. No więc wuj wprowadził konia i powiedział – to jest Dziunia, moja żona, a to jest kolega koń polski wyścigowy, żywa natura, model, możesz go malować.

Dziunia w szlafroku przy sztalugach. Zajęta malowaniem martwej natury włoszczyzny zanim wrzuci ją do zupy. Spojrzała pobieżnie na konia i zapytała zimno

– Model czy modelka?

– Ścisłe mówiąc modelka kochanie.

– A więc o jedną z nas jest tutaj za dużo – powiedziała ciocia i zaczęła się pakować.

Ciocia Dziunia przeprowadziła się do siostry czyli do mojej mamy. Do Michalina. Ja z kolei przeprowadziłem się do szałas. Szałas stał na skraju polanki. Mieszkało tam w sumie pięcioro emigrantów. Moich kuzynów. Bliższych i dalszych. Hanka. Zośka. Maciek. Jacek. I ja. Po drugiej stronie polanki. Około pięćdziesięciu metrów od nas swój szałas mieli nasi najzagorzalsi wrogowie. Siuksowie. Czujni. Zawsze gotowi do akcji zaczepnej. Pewnego pięknego poranka. W szczycie zbioru owoców. Powiedziałem, że idę na śliwki. Wyszedłem z szałas i na dzień dobry dostałem prosto w czoło. Tuż nad okiem. Kamieniem z procy. Z wrogięgo szałas rozległ się okrzyk triumfu – trafiony! A ja leżałem z twarzą zalaną krwią. O tego czasu zyskałem przydomek Śliwka.

W ogóle to była gehenna. Byłem wśród kuzynostwa najmłodszy. I oni to wykorzystywali. W sposób perfidny. Willa w Michalinie stała w lesie. W pobliżu znajdowała się inna willa. A ściśle mówiąc jej ruiny. Zachowały się tylko piwnice. Lochy. Taktyka moich prześladowców była prosta. Najpierw faszerowali moją wyobraźnię opowiadaniem o duchach pojawiających się w ruinach willi. O tańczących szkieletach. Upiorach. I następnie wrzucali mnie do jakiegoś ciemnego lochu. Tarasowali wszystkie wyjścia. I odchodzili. Popływać sobie w rzece. Popalić papierosa. Podkraść gdzieś wiśnie albo czereśnie. I pod

wieczór. Kiedy z willi wołali. A nawet dzwoniли w dzwon umocowany na werandzie. Żeby wracać do domu. Kolacja na stole. Przychodzili po mnie. I z pretensją, że uciekam im i chowam się przed nimi. Tak mówili w domu. Uwalniali mnie. Prawie nieprzytomnego ze strachu. Z piwnicy.

Moimi jedynymi przyjaciółmi. Na których mogłem bezwzględnie polegać. I którzy nigdy mnie nie zawiedli. Były wtedy michalińskie drzewa. Rosły na piaszczystym podłożu. Nie były więc smukłe i wysokie. Ale były tym bardziej otwarte. Przyjazne. Dostępne. Bardziej rozłożyste. W ich konarach można było bezpiecznie leżeć. Nawet spać. W najbliższej okolicy znałem je prawie wszystkie. Te najbardziej ulubione miały swoje imiona. Wtedy babcia często wieczorem czytała nam Biblię. I ja tym drzewom nadałem imiona biblijne. Kain był niski. Miał bruzdowatą chropowatą korę. Mało gałęzi. Na nim wyładowywałem swoją złość. Porażki. Biłem go pięściami. Kopalem. Abel był wyższy. Smuklejszy. Jakby bardziej giętki. Miał więcej gałęzi. W których było dużo gadającego wiatru. Jemu zwierzałem się ze swoich marzeń. Kłopotów. Smutków. Noe był najbardziej rozłożysty. W jego konarach czułem się najbezpieczniej. Jego korona była tak gęsta, że kiedy padał deszcz chroniłem się pod nim jak pod parasolem. Abraham był najokazalszy. Szeroki. Rozłożysty. Chyba najstarszy. W nim było najwięcej ptasich gniazd. Insyngtownie wyczuwałem w nim jakąś dostojność. Tajemniczość. Jozue był najłatwiejszy do wspinania się. Kiedy uciekałem przed sforą psów zawsze kierowałem się w jego stronę.

UROKI MIODOWEGO MIESIĄCA

Waldek. Mówią na niego Waldi. Jest maklerem giełdowym. Myśli o założeniu własnej firmy. Ale na razie jest świeżo upieczonym małżonkiem. Ślicznej Beaty. Inteligentnej psychoterapeutki. Znamy się od lat szkolnych. Z Waldim razem chodziliśmy na siłownię. Silny masywny chłop. Mówi, że zawdzięcza mi maturę. Ponoć ściągnął ode mnie wszystkie zadania matematyczne. Ja nic takiego nie pamiętam. Ale jest mi przyjemnie. Że ktoś jest mi za coś wdzięczny. Często wpada do mnie. Co słyhać. Wypijamy po małym. I on leci dalej. Ciągłe w ruchu. Ostatnio dziwna przerwa w tych spotkaniach. Wreszcie otrzymuję esemesa: SOS będę wieczorem musisz być. Trudno o bardziej niepokojący sygnał.

Przychodzi. Oko podbite. Ręka zabandażowana. Mina ponura. Przygotowuję co trzeba. On pokazuje ręką na twarz. Z trudem mówi. Ledwie otwierając usta.

- Nic stałego, same płyny.
- Kto cię tak urządził?
- Beata.
- Co?! Kto?!
- Beata.
- Klóć się z nią? Zdradzasz ją?
- Ale skąd ani jedno ani drugie.
- Ale Beata taka drobna krucha delikatna... Machnął zdrową niezabandażowaną ręką.
- Daj spokój przecież nie jest to próba sił wiesz, że jej nie oddam i ona też to wie...
- Nic nie rozumiem.
- Ja też.
- Od jak dawna to się ciągnie? Od razu po ślubie?
- Nie. Od niedawna.
- Z jakiego powodu? W jakich okolicznościach?
- No, oglądamy dziennik i ona ni stąd ni zowąd wali mnie w szczękę z prawej i zanim zaskoczony podniosę gardę poprawia z lewej...
- I co dalej.
- Łapię ją za ręce, mówię: co robisz, a ona wtedy wali mnie głową w usta o... zobacz... ledwie mówię.
- Słyszę.
- A ostatnio wprowadziła do repertuaru gryzienie... w nocy kiedy spałem ugryzła mnie w ramię i to tak głęboko, że musiałem iść do lekarza żeby opatrzył ranę... no nie wiem co robić i czym się to może skończyć...
- Może daje ci w ten sposób znak, że jej nie zadowolasz... no wiesz.
- Pod tym względem nic się nie zmieniło, zresztą powiedziała by, wszystko sobie zawsze mówiliśmy i nadal mówimy.
- Może zapisała się do jakiegoś klubu bokserskiego czy w ogóle walki czy samoobrony...
- Coś ty, na pewno bym o tym wiedział.
- Słuchaj, a może to twoja wina... za mało poświęcasz jej uwagi, nie chodzisz z nią do kina do teatru czy do restauracji.

– No rzadko... wiesz, oboje nie mamy czasu... ona ciągle jakieś szkolenia... warsztaty, a ja w banku coraz więcej obowiązków, zebrania... sesje.

– No właśnie... narasta jakaś obcość... mur między wami i ona bije nie w ciebie, ale w ten mur... żeby go skruszyć... rozwalić... co?

– Może, ale na razie to ja się kruszę a nie mur... jak tak dalej pójdzie to...

– A gdzie ona teraz jest, czeka na ciebie w domu?

– Pojechała do Krakowa na jakieś sympozjum na temat przemocy w rodzinie.

– Skąd wiesz?

– Sama mi o tym powiedziała.

– Tak bez niczego? Jak gdyby nigdy nic?

– Jak gdyby nigdy nic. Wszystko jest jak gdyby nigdy nic. Tylko oprócz tego jednego.

I tutaj pokazał na swoją twarz i rękę.

Dopiliśmy co było do wypicia. Rozważyliśmy różne możliwości. Do żadnych przekonujących konkluzji nie doszliśmy. Podtrzymałem go na duchu. Poradziłem żeby nie tracił cierpliwości i nadziei. Jak gdyby nigdy nic. Ale żeby jednak nie dawał się zaskoczyć. I nie zapominał o gardzie. A wszystko się ułoży.

NA LONIE NATURY

Praca nad słownikiem zupełnie mnie wykończyła. Tysiące hasel. Mnóstwo pomyłek. Uzgodnienia. Konsultacje. Pretensje, że tak długo. Ciągłe renegecje umowy. Dosyć tego. Biorę urlop. Żaden kurort. Zabita deskami dziura. Miasteczko. Nie. Raczej wioska. Na głuchej prowincji. Proboszcz. Aptekarz. Soltys. Są jeszcze takie białe kruki. Rarytasy. I to za przysłowiowe pięć groszy. Noclegi w stodole. Na sianie. Z własnego wyboru. Kościółek z wieżyczką. Z dzwonem. Kameralnym. Jak ze sławnej pieśni. Pola jak na pocztówce. Soczyste. Zielone. Lasek. Strumyk. Młyn. Chociaż bez młynareczki. Opustoszały. Odkąd młynarz utopił w strumieniu żonę i troje dzieci. I sam powiesił się na dzwonnicy. Podobno jego żona. Niezwykle piękna młynarzowa. Puszczala się z wikarym. Co okazało się tragiczną pomyłką. Bo wikary był kastratem. I prowadził lekcje śpiewu. Na które uczęszczała między innymi młynarzowa. Naturalna cisza. Błogość. Poczucie bezpieczeństwa.

Oddalenia od zgiełku i spraw tego świata. Przez całe dni wylegiwałem się na trawie. Sprężystej jak batuta. Pachnącej jak Ogród Saski. Pod swojskim platanem. Nad strumykiem. Ptaszki śpiewały. Żaby kumkały. Strumyk szemrał. Platan szumiał. Lokalni skrzydlaci donżuani latali od kwiatka do kwiatka. Trawa rosła. A ja tam byłem. Wszystko słyszałem i widziałem. Ba. Sam czułem się platanem. Strumykiem. Ptaszkiem. Żabą. Trawą. Zwłaszcza donżuanem. Nigdy nie czułem się tak zespolony z naturą. Poziom alfa. Nawet omega. Z pamiętnych kursów doskonalenia umysłu Silvy. To pustostan w porównaniu z tym stanem pełnego zjednoczenia z przyrodą. I nagle coś. Jakby cień. Obce ciało. Otwieram oczy. Na krok ode mnie baba. Stoi. Patrzy na mnie z góry. Z rękami na biodrach. W regionalnej spódnicy. W chustce na głowie. Ja na nią. Ona na mnie. Badawczo. Wreszcie ona.

– W czym mogę panu pomóc?

Jeszcze nie bardzo świadomie. No bo skąd tutaj i teraz takie pytanie. Odpowiadam machinalnie. Tak jak w sklepie. Na pytanie sprzedawcy.

– Dziękuję. Tak się tylko rozglądam.

– Ale w czym mogę pomóc? – baba swoje.

Może myśli, że zasłabłem. Słabo się czuję.

– Nie. Dziękuję. Nic mi nie jest. Czuję się zupełnie dobrze.

Zrywam się na równe nogi. Podskakuje. Robię jeden przysiad. Drugi.

– No widzi pani. Jestem zdrow jak ryba.

– No ale w czym mogę panu pomóc. Mogę panu zrobić masaż. Mam ukończony kurs. Mogę panu postawić karty. Mogę postawić bańki. Uzbierać koszyk grzybów. Ugotować obiad. Posprzątać w domu. Nawet pomalować ściany...

Baba rozwijała swój cały repertuar usług gospodarskich. I nie tylko. Ale już nie czekałem. Robię w tył zwrot. I galopem w kierunku lasu. Baba za mną. Gnałem jak wicher. Ale cały czas czułem za sobą jej piekielny świszczący oddech. Wreszcie dopadłem zbawiennej ściany lasu. W lesie ją zgubiłem. Ale nie na długo. Zanim zdążyłem się zastanowić nad sytuacją. Usłyszałem za sobą. W odległości kilkunastu kroków. Trzask łamanych gałęzi. I głos.

– A dyc poczekaj pan. Nie mogę nadążyć...

Nie poczekałem. Gaz do dechy. I przed siebie. Po kilku minutach panicznej ucieczki otworzyła się przede mną polana. Piękna. Zalana słońcem. Zaścielona szmaragdowym dywanem trawy. Co za

widok... Gdyby tylko nie ta baba za plecami. Ale na środku polany jakiś pagórek czy... nie. To nie pagórek. To najprawdziwszy żubr. Leżący sobie spokojnie. Dostojnie. Wygrzewający się w promieniach słońca. A za mną wylaniająca się zza drzew baba. Zaryzykowałem. Podbiegłem do żubra. Schowałem się za nim, jak za strategicznym wzgórzem na polu bitwy. Baba zatrzymała się na skraju polany. Rozejrzała się. Zobaczyła żubra. Pokiwała głową. Odwróciła się i odeszła. Mój strategiczny żubr niczym nie zareagował na te manewry. Spał. Chrapał rozgłośnie. Nieświadomy dramatycznych wydarzeń rozgrywających się wokół niego. Teraz ja. Poczujesz się bezpiecznie. W takim towarzystwie. Rozejrzałem się dookoła. Teraz dopiero zobaczyłem, że polana zarzucona jest butelkami od piwa. Machinalnie. W geście wdzięczności. Poklepałem żubra po karku. Dziękuję ci stary. Uratowałeś mnie przed...

– Nie ma za co – przerwał mi żubr. Żubr? No a kto. Przecież nikogo oprócz mnie i jego nie było na polance.

– Nie tylko ty jeden – kontynuował żubr. – Odkąd przyjeżdża tu telewizja to pełno zwierzaków przychodzi posiedzieć sobie przy mnie. Początkowo płacili mi nawet nieźle. Za każde ujęcie kilkanaście skrzynek piwa – żubr rozmarzył się. – Balangi do białego rana. Sarny. Jelenie. Łanie. Zające. Lisy. Nawet niedźwiedzie i losie. Wilki też. Grzecznie. Kulturalnie. Ech... – popatrzył na mnie. – Gdyby ta baba cię dopadła... nie masz jakiegoś browarka? Wiesz, suszy mnie jak na pustyni Gobi... od wczoraj nie miałem nic w ustach... oprócz tej syntetycznej trawki... może byś przyniósł choć trochę wody z pobliskiego źródelka...

– Chętnie – odpowiedziałem. – Ale nie mam w czym...

– Będę musiał sam – westchnął ciężko.

Próbował wstać. Pomagałem mu jak mogłem. Stanął wprawdzie na nogi. Ale tak mu się plątały, że po kilku krokach zwałił się na ziemię. Spojrzał na mnie. Widziałem, że cierpi.

– Uzależniłem się. Sam sobie nie poradzę. Z telewizji przyjeżdżają coraz rzadziej. Piwa jak na lekarstwo. A cały las już się uzależnił. Co ja zrobić? – rozplakał się.

Było mi go żal. Jak mu pomóc.

– A jak inni sobie radzą? Mówiłeś, że też się uzależnili.

– Prawie wszyscy są teraz na odwyku. Las jest prawie pusty...

– Jak to? Na odwyku? Gdzie?

– U osła.

– U osła?

– No tak. Tylko on zachował umiar. Zresztą on w ogóle jest abstynentem. Chyba nawet świętym. Powiedział, że jest zwierzęciem biblijnym. I nie wypada mu się upijać. Ani brać udziału w libacjach. I w swojej klinice urządził oddział dla uzależnionych.

– To dlaczego ciebie tam nie przyjął?

– Bo nie ma miejsca. Muszę czekać aż się zwolni. Osioł ma jakieś kłopoty. Musiał zwolnić połowę personelu. Podobno jest zadłużony u chomika. W ogóle służba zdrowia jest w kryzysie. Nie ma się gdzie leczyć. Chodzimy do znachorów. Ropuchy i eskulapy mają pełne ręce roboty. Ale to jest nielegalne. Nie mają uprawnień.

Obiecałem że mu pomogę. Żeby jakoś przetrwał ten okres oczekiwania.

– Aha – powiedział mi na pożegnanie. – Uważaj na tę babę, która cię goniła. To jest znana w okolicy ladaczniczka. Widocznie była ostatnio u spowiedzi. Tutejszy proboszcz na pokutę zadaje dobre uczynki. I to wobec obcych. Żeby pokutnicy nie mogli liczyć na żadną wzajemność. No i akurat się jej trafiłeś. Ona potrafi nawet postawić siadła. I później takiego delikwenta pielęgnuje. Karmi. Dogadza. Jak dobry Samarytanin. Niejeden już wpadł w jej łapy.

DUŻE ZMARTWIENIE MAŁEJ DZIEWCZYNKI

Mała dziewczynka zgubiła żółwia. Dziewczynka nie je. Nie śpi. Płacze. Dziewczynka ma na imię Kasia. Żółw Toto. Kasia, bo tak chciała babcia. Toto, bo tak chciała dziewczynka. Kasia bardzo lubi żółwia. Ale nie lubi słowa żółw. Woli mówić Toto włożył pod szafę. Toto się gniewa. Toto nie chce się ze mną bawić. Kasia mieszka z mamą i żółwiem w tym samym domu co ja. Piętro wyżej. Wszyscy w całej kamienicy szukają żółwia. W końcu żółwia znalazł kot. Nawet nie wiadomo jak się znalazła nazywa. Bezpański. Sąsiadka usłyszała uporczywe miauczenie w jednej z piwnic. Poszła. Zidentyfikowała piwnicę. Przyszedł właściciel piwnicy. Otworzył. Kot siedział przy żółwiu i miauczał. Żółw nic nie mówił. Dlaczego kot miauczał – nie wiadomo. Czy ktoś zrobił komuś krzywdę. Kot żółwiowi (sprawdziłem w słowniku ortograficznym – jest dobrze) czy żółw kotu nie wiadomo. W jaki sposób żółw znalazł się w piwnicy skoro dziewczynka nie odstępowała go ani na krok i nie było jej w piwnicy – nie wiadomo. Grunt, że żółw

się odnalazł. Dziewczynka zaczyna jeść. Spać. Przestała płakać. I wszystko byłoby dobrze. Ale nie. Los potrafi być twardy. Nawet dla małej dziewczynki. Happy endu nie ma. Przynajmniej na razie. Dziewczynka. Jak to dziewczynka. Rośnie. Ma już sześć lat. Koniec laby. Najwyższy czas do szkoły. Dziewczynka jest grzeczna. Nie protestuje. Takie jest życie. Jak do szkoły to do szkoły. Ale z żółwiem. Bez żółwia nie ma mowy. Nie pójdzie i już. Znowu nie je. Nie śpi. Płacze. Co robić? Mama bierze żółwia pod pachę. Idzie do szkoły.

– Kasia będzie przychodziła do szkoły z tym żółwiem.

– To niemożliwe – mówi pani kierowniczką.

– Dlaczego?

– Regulamin tego zabrania.

– Ale dlaczego.

– Żółw jest zwierzęciem, a zwierzęta nie mają prawa wstępu do klasy.

– Tak jest w regulaminie?

– W regulaminie jest, że w klasie mogą się uczyć tylko uczniowie i uczennice.

– To może pani zapisze żółwia jako ucznia...

– Jak to... a to jest chłopiec czy dziewczynka?

– Eee... nie wiem.

– No właśnie, nawet tego pani nie wie.

– Jak to sprawdzić?... Może pani od przyrody by wiedziała.

– Jest na zwolnieniu lekarskim zresztą... nie, to też nie jest możliwe.

– Dlaczego?

– U nas obowiązują mundurki... jak pani ubierze żółwia w spódniczkę albo w spodenki... poza tym kokardka we włosach dla dziewczynek i aksamitka dla chłopców... nie. To się nie da.

Ostatecznie przydzielono dziewczynce psychologa-psychoterapeutę. On przygotowuje Kasię do samodzielnego uczęszczania do szkoły. Bez żółwia.

Wczoraj spotkałem Kasię z żółwiem w koszyku i jej mamę. Schodziły ze schodów. Ja akurat wychodziłem do sklepu. Po oliwę z oliwek. Do sałatki na kolację.

– Dzień dobry paniom – powiedziałem.

– Dzień dobry panu – odpowiedziała mi mama Kasi.

– Dzień dobry – odpowiedziała mi Kasia. – Idziemy z Toto na terapię. Wieczorem do pana wpadnę i wszystko panu opowiem.

Żółw wysunął głowę spod pancerza. Spojrzał na mnie smutno. I nie nie powiedział.

WIZYTA U MARADONY

Z Maradoną zapoznałem się wokolicznościach towarzyskich. Zostałem zaproszony przez panią M. na weekend do jej willi pod Warszawą. Tato w podróży zagranicznej. Na Daleki Wschód. Mama w Londynie. Późny wieczór. Olbrzymi pokój jadalny. Stół pięć metrów długości. Dąb. Bogato rzeźbiony dół. Stołu znaczy się. Siedzimy po przeciwnych stronach. Jesteśmy sami. No niezupełnie. Po chwili półuchylone drzwi otwierają się. Ktoś wchodzi... w półmroku nie widzę dokładnie kto... Pani M. Wstaje. Ja wstaje. Pani M. mówi – to jest Maradona. W krąg światła z kryształowego żyrandola wchodzi pies. Olbrzymi. Muskularny bokser. Z kłatą jak Schwarzeneger. Zbliża się do mnie. Opuszcza łeb. Podaje prawą łapę. Podaję mu swoją łapę. – Tadeusz jestem, bardzo mi miło. Koniec prezentacji. Zasiadamy na swoich miejscach. Maradona rozpostarł się u stóp pani M.

Ledwie usiadłem na fotelu wskakuje na mnie mały kotek. Mości sobie miejsce na kolanach. Wciska mordkę w fałdy swetra. I jakby go nie było. Zapominam o nim. W czasie kolacji na moim prawym ramieniu przysiadła na krótko papuga. Zagadła coś. Ugryzła w ucho. Wytarła dziób o moje włosy i poleciała. Lewe ramię zajęła kawka. Dałem jej kawałek bażanta. Piezonego. Wzięła w dziób i odleciała. Pani M. nie zwracała najmniejszej uwagi na te dodatki. Ja starałem się również nie zwracać. Ale tylko zewnętrznie. Byłem kompletnie wytrącony z wewnętrznej równowagi ducha. Zastanawiałem się intensywnie co jeszcze. Z inwentarza i w ogóle. Nawet nie pamiętam ani słowa. Przecież o czymś musieliśmy rozmawiać. Nic. Ani słowa. W pewnym momencie zgrzyt klucza. W drzwiach wejściowych. Pani M. zaskoczona. Po chwili do pokoju wchodzi mężczyzna. Łysawy. Średni wiek. Szczupły. Pani M. wstaje od stołu. Ja też. Mały kotek spada mi z kolan. Zupełnie o nim zapomniałem. Ale czuję intensywną wilgoć od piersi do pasa. Tam, gdzie wessał mi się w sweter mały kotek. Ale nie czas na refleksję. Następna prezentacja. Pani M. – pan Tadeusz kolega z pracy... mój tata.

Zahaczamy się łapami. To znaczy tym razem rękami. Pan tato tłumaczy dlaczego przedwcześnie. I znika w swoich rewirach. Pani M. widzi moje zakłopotanie mokrym swetrem i koszulą. Uśmiecha się wyrozumiale.

– Smoczek pana dorwał... wie pan... to jest znajda... karmiliśmy go smoczkiem... i teraz...

– Nic nie szkodzi – bagatelizuję sprawę zasłaniając marynarką gigantyczną płamę na swetrze. Nazajutrz willa pani M. wypełnia się gośćmi. Siostry. Kuzynki. Zabawy i gry towarzyskie. Konwersacja. Spacery w ogrodzie. Pan S. jest znanym i uznanym poetą. Publicystą. Zna osobiście wielu wybitnych literatów. Czyta swoje wiersze. Przypomniały mi się opowiadania Iwaszkiewicza. Podobna atmosfera. Pod wieczór pan S. zamyka się w swoim gabinecie kończyć jakiś zaległy artykuł. Panie układają menu na specjalną kolację. Mnie przypadło w udziale wyprowadzenie Maradony na spacer. Mówię pani M.

– Nie wiem dokąd, jak, kiedy, i w ogóle jestem tu pierwszy raz...

– Niech pan zaufa Maradonie on pana poprowadzi i przyprowadzi...

Wychodzimy. Schodzimy z szosy. Pola. Łąki. Zboża. Falujące. Różne gatunki. Wysokie. Niskie. Żółte. Zielone. Głowy też rozmaite. Niestety. Nie rozpoznaję po imieniu. Jestem straszny mieszczanin. Tu i ówdzie kępy drzew. Niekiedy nawet spore zagajniki. Nie żeby się zgubić. Ale wystarczy na namiastkę lasu. Przynajmniej dla mnie. Maradona szaleje. Wszędzie go pełno. To znika. Wśród łąków zboża. To się wyłania z kępy drzew. Ale mnie pilnuje. Od czasu do czasu przystaje. Odwraca łeb w moim kierunku. Chwilę czeka żebym do niego doszłusował. I znowu znika. Ta monotonia już mnie trochę znudziła. Ale te zapachy... Co chwila łagodny wiatr od pola nawiewa nowe bukiety... kiedyś w centrum Warszawy. Idziemy sobie z kolegą. Ulica przesiąknięta spalinami. Wyziewami z fast foodów i barów z azjatyckim żarciem. I ja nagle. Ni stąd ni zowąd. Czuję zapach poziomek. Zapytuję kolegę – ty też czujesz zapach poziomek?

– Co? Zapach poziomek? W tym syfie? Chyba jaja sobie ze mnie robisz...

Zaczyna zmierzchać. Maradona ani myśli wracać. Wołam Maradona Maradona... jest... przybiega do mnie zziąjany.

– Chyba już czas do domu... jak myślisz?

Ten Maradona ma dziwne oczy. Nie psie. Ludzkie. Oczy zatroskanego człowieka. Może nawet cierpiącego. Przekrzywił śmiesznie łeb i patrzy na mnie – poczekaj. Trochę odpocznę i pójdziemy. Tak powiedział mi oczami. Rozwalił się jak długi. Usiadłem obok niego. Po pięciu minutach wstał. Ruszyliśmy. Po chwili byliśmy już na szosie. W tamtą stronę od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód. Teraz było

pusto. Maradona szedł przede mną. Co chwila oglądał się za mną i przyspieszał. Jakby mnie ponaglał. Podbiegłem z nim. On szybciej. Uciekał mi. Aha. Chcesz się ścigać. Proszę bardzo. Jestem w tym wcale dobry. Ruszyliśmy stępa. Kłus. Galop. Obok siebie. Łeb w łeb. On tuż przy nodze. Po mojej lewej stronie. Wcale nie pękam. Nawet go trochę wyprzedzam. No, on jest jednak zmordowany tą bieganią po polach. Ale ma cztery nogi. A ja tylko dwie. Pędzimy jak wicher do Janowa. I w pełnym galopie on. Nie wiem dlaczego. Nagle zbacza minimalnie w prawo. Potykam się o niego. Wystrzelam w powietrze jak z katapulty. Robię kilka salt. I spadam łbem na asfalt. Musiał mi się urwać film. Przynajmniej na krótką chwilę. Bo nagle ocknąłem się w rowie przy szosie. Nade mną. Nie. Nie niebo gwiazdziste. Ale morda Maradony. Który bezceremonialnie chlasta mnie po gębie swoim jęzorem. Pierwsza myśl. Skąd ja tutaj w rowie. Skoro zwałem się w samym środku szosy. I odpowiedź. Maradona musiał mnie ściągnąć z szosy do rowu. Druga myśl. Czy mam wszystkie gnaty na swoim miejscu. Miałem. Szybko się pozbierałem. Zdążyliśmy jeszcze na swoje porcje spćcialitć de la maison.

KAROL GRACZYK
godło „Trzynastozgłoskowy
tamburyn”

III nagroda w kategorii prozy



KAROL GRACZYK urodził się w 1984 r. w Gorzowie Wielkopolskim. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Recenzent w dziedzinie literatury, filmu oraz muzyki. Laureat i zwycięzca konkursów poetyckich, m.in.: IX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Włodzimierza Pietrzaka, IV Legionowskiego Konkursu Literackiego, Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Wawrzyn Sądecczyzny”, XVII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „O Laur Posta Prawdy”, XXV Ogólnopolskiej Jaworskiej Biesiady Literackiej, Konkursu Literackiego o Laur czyli Złoty Syfon. Od roku 2006 jest redaktorem stworzonego przez siebie internetowego miesięcznika sztuki – „Polskie Kulturalne Podziemie”, w którym publikują zarówno młodzi jak i uznani artyści. Współpracuje z redakcją kwartalnika „Szafa” oraz „Poeticonem”. W kwietniu 2008 r. założył Stajnię Poetycką, której celem jest pomoc młodym, zdolnym poetom w stawianiu pierwszych kroków literackich. Swoje teksty publikował m.in. we „Frazie”, „Akancie”, „Art Papierze”, „Tyglu Kultury”, „Łabuziu”. W dorobku ma dwie książki poetyckie: „Oko i oko” oraz „Osiemdziesiąt cztery”. Były stypendysta Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego.

WYJŚCIE

Kiedy wychodziłem przez próg wiedziałem, że nie stanie się nic, co sankcjonowałoby słuszność wyróżnienia czegoś kursywą lub nadania temu nowej nazwy. Okazało się, że wszystko, co jest nam potrzebne, najdoskonalej potrafi nazwać się samo, jak pierwsza trawa wystająca z torów, którą widzieliśmy razem, po śnieg, ten nie był nam wspólny nigdy. Nie było między nami momentu w stylu *zrób coś, rwij do bólu, ale jeszcze nie dotykaj i włos po włosie odkładaj na miejsce*. Od razu przeszliśmy do sedna, jak to mamy w zwyczaju (podobnie, jak w zwyczaju mamy udawać, że jest inaczej). Coś jednak innego w tym było, coś, co zdobywcom każe zostać zdobytym i wciąż poznawać kolejne oblicza, mimo pewności, że nie są to oblicza prawdziwe. Na przykład to, co dla D. było szpitalem psychiatrycznym, dla K. było ich wspólną i najbardziej intymną rzeczą. Od litery do litery w jednym tylko miesiącu lekarze stwierdzili co najmniej cztery osobowości, każda z nich kochała innego mężczyznę i nawet różnie kategoryzowała – jeden był zjawą, drugi przyjacielem, trzeci mężem, czwarty choćby marchewką. Rzeczywistość unieważniała jednak zarówno przyjaźnie, małżeństwa, jak i chwilowe fascynacje, będące niczym trening dla przezwyciężenia kompleksów lub po prostu zdobywaniem kolejnych terenów literackiej rzeczywistości, wszak wszystkie osobowości przylegały do kogoś innego, ale jako że każda rozmowa rozpoczynała się według jednego schematu, tylko literaci mogli w niej uczestniczyć. Co podatniejsi łapali się na dalsze rozmyślenia, które kończyły się w łóżku (po miesiącu lub pięciu dniach), w którym każdy z nich był najlepszy i z którym łączyła ją zawsze osobna intymność, osobne relacje między zupełnie podobnymi lub całkiem innymi ludźmi, wielka to umiejętność przystosować się do każdego z nich, jeszcze większa, każdą z tych relacji samodzielnie sterować. Teraz pewnie wlewa się w ciebie lub wylewa ciepło przez szept i tripy, a ja, wiesz, zawsze piszę poezję podczas związku, te najważniejsze od pewnego czasu pointuję prozą.

Okolo południa naprzeciw apteki na tym samym dachu, co zawsze, obradują kruki. Kiedy piszesz coś w zeszytcie w linię przerywaną, chodzę po pasach w tę i z powrotem, ze szpitala do apteki. Mniej więcej po środku na przystanku, z którego jeżdżą uwiecznione tramwaje, razi po oczach mroźne światło i pies w czerwonym kubraku, więc idę do światła i po chwili stoję w kolejce do „trójki”, a pies zbliża się prowadząc na sznurku Coco Chanel ubraną w sierść identycznie czarną i patrzy w to samo lustro zamknięte na ziemi, w które patrzę się ja. W końcu o krok od kręgielni spod „czternastki” słychać te same krzyki, co zawsze, ta kurwa za niebiesko-żółtą firanę, jak flaga Watykanu. Kaczmarek pyta, co się stało z naszą klasą, a ja sam nie wiem, zresztą, to bez znaczenia kiedy kwiat polskiej inteligencji umiera przez drugi, tobie podczas lotu świszczy powietrze i bieleje faktura skóry, ja z głodu przeliczam cię kostką za kostką całą tabliczkę czekolady i otwieram oczy. Choćbyśmy spędzili ze sobą całe życie, to zawsze będzie wieczór, w którym powtarzasz zza zamkniętych powiek bez jakiegokolwiek mimiki, powtarzasz ciągle „chciałam ci powiedzieć, że umieram”. Tak, odkąd pamiętam, zawsze byłeś najlepsza z chemii, chociaż strach rzadko otwiera ci wielkie oczy i wykręca usta na różne sposoby. Po kilku godzinach biologia umiera przetrucana z miejsca na miejsce, zmienia się w kurz, jak wszystko i już nie jesteś moja, tych, których ściągasz myślami jest znacznie więcej, więc, kiedy wyjadę, żadnej fety, seksu i lizania truskawek, żadnego językowego przejrzyczenia się prozy, poezji i innych ludzi, ale ty poznajesz kolejnych i później mówisz, że wszyscy faceci są tacy sami, nieprawda, znam lepszych od siebie. Teraz, kiedy jestem tutaj (wiesz dobrze, że będziesz wewnątrz już zawsze) wchodzisz między samą siebie i prosisz wszystkich, żeby zabili lęk, więc zabierz mnie i podnieś dłoń do ust jakbyś oczekiwała ciszy między jedną a drugą twarzą znajdujesz moją. Później znowu nie będzie nikogo (nie ma was zawsze razem, albo jesteście oboje). Teraz nie przepuszczaj nikogo, kto pójdzie w moją stronę. Po tym wszystkim, czego razem nie przejdziemy, jest mi szalenie: dobrze, źle, nastrojowo, pięknie, ale bez nadziei na jakąś prawdę ostateczną. Istny przymrozek gorąca. Teraz udowodnij, która rzeczywistość jest prawdziwa i dlaczego czujemy to bardziej, niż ktokolwiek, ale i bardziej, niż ktokolwiek, jesteśmy niezdolni, bo co ja mogę powiedzieć? Że chciałbym cię teraz przytulić i trzymać przez całą noc w rękach? Że mam w dupie te wszystkie wiersze, redagowanie, że wołałbym pocałować cię w czoło

i głaskać twoją głowę leżącą pod moją, zbierać wodę z twarzy, chować ją do słoika i obiecać, że nie uda ci się go przelać? Mieć dziesięć rąk, chwycić za rękę, za włosy, za szyję, za plecy, za tyłek, za łydkę i za stopę, żebyś czuła mnie na każdym kawałku ciała i przestała się bać?

Kiedy petardy rozjebały niebo wiedziałem, że nic z tego nie będzie. W nocy spadł pierwszy tej zimy śnieg, stare meble marzną pod śmietnikiem, nie ma cię po mojej cieplejszej stronie śniegu. Teraźniejszość zmienia się zawsze, pozostaje przyszłość i przeszłość. Byłoby pięknie, gdybyśmy kiedyś oboje tego żalowali. I tak zostaną nam na koniec pytania ważniejsze od odpowiedzi.

NADJEŹDŹAJĄCY POCIĄG. *LA PROSA DELLA VITA*

Bez kół podjechał i zobaczyłem przestrzeń piaszczystą i krok po kroku jak dzień stracony za dniem niewoli w niepoznane linie brzegu i wszedłem po kostki za ciekawość i nadzieje przyziemne z braku lub nadmiaru odmiennych światów czy stanów chętnych zawrócić mnie piaskom spokojnym dnia powszedniego a martwym maszynopisaniem dni zwykłych prowadzących jedynie ku wydmom dalszym więc wszedłem po kolana zranione za upadki z wzlotów nieuskrzydłonych i brak wiary w zasługujące na nią a nazbyt dla mnie ukryte może z Ksiąg Nowych będzie mi dane czego nie potrafiłem dać lub zabrałem ku celom wyższym i poniżonym za to po pas w próbie odkupienia na chwilę choćby na pohoryzont nadmorskiej pustyni i za zdrady względem ciał innych i bezcielesnych a odczuwalnych i za sacrum i profanum i za to że jednym jest dlatego wszedłem po szyję za bezruch przybity do krzyży i kule u nogi za swobodne niewolnictwo więc za to że wyzwoliciele skakali przez burtę topiąc się w wodach najpełniej i za to co podwyższoną falą najgłębiej sól w ciebie wrzuca i za listy wszelkie napisane wszedłem po usta za słowa złamane lub zbyt ciche i te zachłanne z ust twoich wypite wszedłem po powieki za odbierane powietrze i na znak jego nieczystości i niedostatku wszedłem a oczy zamknąłem za to co ukryte lub niepotrzebne i woda przykryła czoło i myśli wszelkie a statek odpływa po raz ostatni gdzie byłem – będę płynął i patrzył na pachnące wieczory piwnice Grunwaldu strugi wiatru i deszcz pod oknami listy do Miss Jane napisane mgły przypisywane otarcia na łokciach i hotelowe zdrady szczyptę orientalizmu zamkniętego na wstyd nauki o braku jakichkolwiek zasad pukanie do nieba i listopadowy deszcz w księżycową noc pustynną różę i słodki hałas kieliszków Finlandii Księgi Tajemnicze bo i tak nic nie ma znaczenia czasem sens i chwile ulotne pierwsze i ostatnie których i tak nie powstrzymasz płynąc i wzbijając kurz przez szaleństwa największe nocne włóczęgi po mieście

kropkę nad ypsilonem Guernicę przyjaźń jedyną inne nieprzyjaźnie wszystkich przypadkowych i Boga (jeśli słyszy) i pisarzy pociągowych przy piwie i wódce w oparach dymu i wszystkich tych, którzy mnie poniosą słabnące światło najłżejsze uczucie bez wiary nadziei przy tańcu Eleny listach do M. i długich dźwiękach samotności do Peggy Brown i ciszy muzyki bliźniaczych uniesień gdy Osip nieszczęśliwie uskoczył przez okno (a Nadia krzyczała) tak niewolnik nawet końca jak początku nie wybierze sam tak dwa tygodnie przed nim odeszły wszystkie psy a on położył się obok jakby to wszystko dawno już minęło i snem było najprawdziej jakby wszystkie pierwsze razy wkalkulowane były w porażkę z samym człowiekiem i czasem bezwzględny (choć Einstein obiecał inaczej) i cóż teraz jest człowiek przepelniona skrzynia pragnień i wiary że nie doszedł jeszcze do końca przeżywania że jest gdzieś „tak, nie, przecież, dlaczego” że spotka choć raz jeszcze na zawsze oczy niewinne u siebie i drugie w których znajdzie odbicie i usiądzie na Agrykoli czy w Parku Saskim i dobędzie ręki czy talii że nie będzie to raz ostatni zostaje ułuda później już tylko grzeczności lekarze szpitale białe fale a statek odpływa po raz ostatni gdzie byłem – będę płynął i patrzył.

W POCIĄGU. BEZPOWROTNIIE UTRACONA LEWORECZNOŚĆ,
CZYLI KRÓTKA HISTORIA TARTACZNA
LUB ZABAWA W UKRYWANIE ALUZIJI

W przyszłym tygodniu masz urodziny
za rok pewnie
już cię nie będzie.
M. Roberts, *Lacrymae rerum*

Poeci stąd próbują wydać jakiś marny tomik poezji, podczas gdy Ewa znów jedzie do Belgradu na spotkanie z hinduskim pisarzem lub promocję kolejnej książki przetłumaczonej na język serbski. Zostać tu, to tak, jakby ktoś szukający Boga spotykał się rok z dewotką, zamiast pojechać na plac Świętego Piotra lub przeczytać Koran. Poeci stąd robią bardzo kameralne wieczorki w asyście telewizji, której nikt nie ogląda i jednego anioła, który zupełnie nie pasuje do poetów rozrzuconych po ulicach i pięknie wyrzeźbionych facetów, którzy nie potrafią podnieść najmniejszego ciężaru, podczas gdy Ewa ma zniżki w kilku lokalach na krakowskiej starówce tylko dlatego, że jest poetką. Zostać tu to tak, jakby kilkadziesiąt lat temu jakiś Żyd uparł się, że zje obiad w normalnej restauracji, chociaż gdzie indziej mógłby zjeść jeszcze lepiej... lub umrzeć z głodu. Poeci stamtąd nie krępiją się żyć poezją, bo sztuka jest częścią ich miasta, a ja zastanawiam się, dlaczego w moim mieście są tylko dwa miejsca mające cokolwiek wspólnego z poezją. To zupełnie tak, jakby miasto wstydziło się artystów, albo uważało, że najlepsi i tak sobie poradzą. I słusznie (bo przecież „pomiędzy ostrza potężnych szermierzy chodzą poeci”), ale nie chciałbym, żeby środowisko, jak niektórzy ludzie, spuszczało głowę przy ostatnim pożegnaniu, wyciągając dłoń z przyzwyczajenia. Prezydent mojego miasta rządził kilka miesięcy z aresztu, bo postawiono mu zarzuty. Może prawdziwe, może nie, nie dowiem się, ale co mnie to obchodzi, skoro właśnie ten człowiek sprawił, że wstydę się tego miasta już

mniej, niż kiedyś. To tak, jakby Judasz za trzydzieści srebrników wykupił cały transport niewolników i dał im wolność, a każdy z nich uważałby się za boga, jak dzisiaj, kiedy naśladowujemy przekute dłonie i stopy gwoździami w uszach, nosach, językach i pępkach, a krzyże zawieszamy sobie na szyi nie mając pojęcia o chrześcijaństwie (są ludzie, którzy za taki krzyżyk poniżyliby kogoś sobie bliskiego). Poeci stamtąd myślą, że Gorzów Wielkopolski leży pod Poznaniem, później spotykają się pod pomnikiem Mickiewicza, idą do Bunkra Sztuki i piszą pracę dyplomową o Hildegardzie z Bingen (Ewa nie jest pewna, czy więcej się dowie u dominikanów, czy karmelitów, ale zapewne u tych pierwszych). To tak, jakby jakiś przeciętny, bogaty chłopak chciał zostać dominikaninem tylko dlatego, że studiuje na KUL-u, uważa się za pępek świata, ma kobiecy głos i chce zaimponować pewnej dewotce z uczelni. Ewa pyta mnie, w jakim wydawnictwie chciałbym wydać swoją poezję, a ja wrócę do siebie i będzie mi wszystko jedno, bo jeśli literat, którego szanuję, zamieścił moje teksty w swoim kwartalniku zmieniając ich treść bez konsultacji (bo przecież wie lepiej), może być tylko wszystko jedno. Bo przecież nie będę w rodzinie najbardziej szanował tego, który najlepiej udaje, że cokolwiek go obchodzi, bo ciągle robi to niedostatecznie dobrze.

Anioł z mojego miasta nie może się wybić, bo śpiewa za dobrze, a programom muzycznym trzeba zapłacić, by zechcieli pokazać teledysk. To tak, jakbym zaprosił piękną studentkę arabistyki z Krakowa na kolację przy Chateau Latour 1992 Paulliac i kazał jej słuchać o pękniętym jeżu, albo zaprosił do tańca w rytm dźwięcznej recytacji XCII sury Koranu. Studentka arabistyki jest wrażliwa, ale nie lubi pochopnego ciepła, nie próbuje udowodniać wszystkim swojej wyższości (choć zazwyczaj mogłaby) i nie ma potrzeby zniżać dekordu do stopnia, w którym cała garderoba staje się zbyteczna, bo biust to nie wszystko i zakrzywienie pleców, a przecież są kobiety, które nie pójdą z tobą do łóżka, nim nie dasz im po twarzy lub nie nazwiesz kurwą. I takie też bywają piękne i wrażliwe. Jakaś przypadkowa dziewczyna proponuje mi seks, nie mając pojęcia, kim jestem. Gdyby zrobiła to dwa lata temu, mogłaby zostać moją kochanką, może nawet matką mojego dziecka (i pomyśleć, że kiedyś byłem zbyt nieśmiały, a ona pewnie wciąż myśli, że bawiłem się jej uczuciami), tymczasem studentka arabistyki rozmawia ze mną od ponad dwóch lat, ale nie proponuje mi seksu przy pierwszej okazji i może dlatego jest fascynująca. Wiec tak: w Opolu i Wrocławiu pada

deszcz, w Krakowie spadł pierwszy w tym roku śnieg, a wiatr wieje i kwitną jabłonie (jabłonie lubią zieloną herbatę).

„Nikczemność ma różne maski, najstraszniejszą z nich jest cnota”, jak najważniejszą z cnót jest miłość, bo oddać się cnocie nieprawdźwiwie i przysięgać jej to tak, jakby Bóg przysięgł grzech pierworodny, a później skazał nas na życie wieczne... a Ewa mówi, że śmierć jest nagrodą i względem poetów na pewno ma rację, bo kim byłby dziś Wojacek, gdyby żył? Albo kim byłbym ja, gdybym kiedyś spróchniały fascynował się jakąkolwiek studentką arabistyki? Byłbym po stokroć bardziej frustratem, niż poetą. Marek twierdzi, że dziś nic nie jest poezją, albo jest nią wszystko. To tak, jakby poeta mógł tylko żyć lub umrzeć i wtedy nikt nie byłby poetą, lub nikt by nie żył, a kiedyś ścinano głowy, jak ścina się kwiaty i zanoszą bukiet studentce arabistyki, choć kwiaty nie wyrażają nic, poza symbolem, bo wyrazić nie mogą nic kwiaty dobra lub zła, lub muszą wszystko, bo są wplatane we włosy dziewczynkom i wrzucane do padolów (Poison Ivy).

W moim mieście niebezpiecznie być gejem, na Brackiej (deszcz) mógłbym dać herbacianą różę J.C. i być może nie dostałbym po pysku od tysego człowieka z mlekiem pod nosem, być może tam z mieszaniny krwi i mleka nie zrodziłyby się barwy bojówek wszechpolskich, a później znowu zjadłbym flaczki i pierogi z Ewą na starówce (Ewę fascynują poeci, którzy są gejami, a poezję gejowską łatwo rozpoznać). Wieczór spędziłbym ze studentką arabistyki i byłoby prawie tak miło, jak w Paryżu, Poznaniu czy Puławach, ale bez rozrzucania wątpliwości w sprawach sercowo-umysłowo-wszechcielesnych, a na weekend pojechałbym do Zabrza do J.C. i byłoby mi lepiej, niż kiedykolwiek wcześniej (gdybym uchylił to, czego bym czasem chciał, nie poznałibyśmy swoich twarzy), później niestety musiałbym wrócić do siebie (choć moje miejsce jest gdzie indziej), zresztą i tak czuję zapach i smak studentki arabistyki, a Romek na ostatnim wieczorku czytał coś o wąskich pośladkach (chyba kobiecych, nie pamiętam). Teraz patrz: w Rudzie Śląskiej jest już zupełnie ciemno, do przedziału wszedł facet około trzydziestki, zadzwonił trzy razy, czterokrotnie mówiąc, że ma kogoś w dupie (dwa razy mówiąc tak podczas rozmowy z kobietą) i wyszedł. Z pewnością nie był gejem.

Do przedziału weszło dwoje ludzi w średnim wieku. Ona usiadła przy drzwiach i zakryła się kurtką, czasem sięgała po wodę mineralną do błękitnej reklamówki. On usiadł przy oknie i czytał,

chwilami tylko zamyślony zaglądał przez okno (choć ciemno już było, a z ciemnych miejsc lepiej widać jasne, niż z oświetlonych ciemne). Po dwóch godzinach jazdy spojrzałem zaspany na niego – wyglądał na ustatkowanego faceta, który wraca do ciepłego domu i żony (obraczka na palcu wiadomym). Widać, że czegoś mu brakuje, może był tydzień w delegacji (gdy mężczyzna spragniony jest kobiety, zmniejsza wymagania, gdy głodny – zje wszystko). Ona trzęsa się z zimna lub choroby przez całą podróż, nie odzywając się do nikogo słowem. On przewracał kartki nie patrząc na boki. Zazdrościłem mu. Zaraz pewnie wysiadzie i wróci do domu; jutro kolejny dzień w pracy, ale pewnie stałej. Ona wyciąga wodę i fotografię, która kładzie na kolana – patrzy i znowu się trzęsie. Na zdjęciu stoi nad grobem. Obok niej mężczyzna zamyka książkę. Wstają, wychodzą, on mówi „dobranoc”. Ze sobą już o czym rozmawiać.

W kościele najbliżej domu (najważniejszy zabytek w okolicy) w najwyższym oknie od lat zamiast witraża wciśnięty jest karton, a w Krakowie (7 przystanków od starówki) jest bardzo kameralny kościółek przy klasztorze Zmartwychwstańców, gdzie ostatnią mszę dla 42 osób (tak, policzyłem) celebrowało (to dobre określenie) 12 księży (również policzyłem), po podzieleniu tacy zostanie 2 zł na głowę (przypuszczam). W Poznaniu pociąg nadal stoi, choć powinien ruszyć pięć minut temu, słychać coraz głośniejsze dudnienie, jakby ktoś pod wodą uderzał butelką w szybę, ale to przytłumienie wodą może być efektem tego, że podobnie, jak sąsiad z przedziału, próbuje zasnąć. Dudnienie nasila się, nagle facet idący szybkim krokiem przez korytarz wali butelką w drzwi przedziału drąc pysk „piwo, piwo”, czym skutecznie nas wybudza. Sąsiad z przedziału podnosi się błyskawicznie i krzyczy: „spierdalaj”. W pociągu nigdy nie kupowałem piwa, zresztą od kilku dni bardziej smakuje mi wino. Jest bardziej wykwintne, zresztą wina nie pije się z byle kim, piwo i brendy można z każdym. Marcin noc przed śmiercią był z kumplami na piwie, o piątej rano wyszedł z domu i w piwnicy „własną dłonią otworzył księgę, a ktoś z litością zawarł mu powieki”, teraz śpi śmiercią naturalną, jak ona: „Następnego dnia miejscowa prasa prześcigała się, kto więcej napisze o śmierci siedemnastolatki, której ciało znaleziono ubiegłego wieczoru obok niefunkcjonujących już pociągów Dworca Głównego Poznania”.

Ludzie w pewnym wieku przestają patrzeć w lustro i popełniają pierwsze samobójstwa (wtedy właśnie jadalne piersi zmieniają się

w darmowe minuty), a reinkarnacja deski zaczyna drażnić pióro pisarza drzazgami i tak od deski do grobowej. W Wiadomościach podają, że skrzypek przepiłował skrzypce, a Polski żołnierz zginął w Iraku. To dobry dzień dla Iraku. Patrzę (sam nie wiem, czy okno to, czy lustro), młodzież trenuje lotnictwo międzyblokowe i wie, że czasem dobrze się przespać lub zmienić historię świata, tymczasem „upadłe anioły zostawione na pastwę boga” wzruszają wskazówkami, ja ramionami, a w Hotelu Overlook:

– Panie Grady. Porąbał pan żonę i córki na kawałki, a potem strzelił pan sobie w łeb.

– Dziwne. Nic takiego sobie nie przypominam.

Jutro w kryminalnym znowu przepracuję osiem godzin, znowu myśląc o studentce arabistyki, która wydaje się być dojrzałą kobietą (niektóre dziewczynki myślą, że jeśli prześpią się z facetem, stają się kobietami, później się zastanawiają, jak wytłumaczyć Matce Boskiej złamanie przysięgi, w końcu tłumaczą ją tylko sobie i wciąż nie widzą w sobie dewotek). Jutro, podobnie jak ja, pójdzie do pracy ojciec znajomego i będzie opowiadał dorastającym dzieciakom, że alkohol jest zły, a później wróci do domu i przybity pracą otworzy pierwsze piwo, później sześć kolejnych, nie pobije żony, nie sprzeda samochodu za butelkę wina, jest przecież wysoko postawionym człowiekiem. I inteligentnym. Zobacz: siedzę w Krzyżu, śmierć ma godzinę opóźnienia, a psy wyją zazwyczaj w zachmurzone niebo.

Lubię niskonakładowe sześcioliterowe słowa równie, jak trzyliterowe, choć z tymi pierwszymi poezja wygląda gorzej, a „mądrość jest kobietą i pokochać zdoła tylko wojownika”. Guernika też jest kobietą. Picasso mógłby jej nie malować, świat byłby piękniejszy (może nie dla poetów stąd, czy stamtąd, ale kto by się nimi przejmował). Teraz „jestem spokojny, żadnych zajęć prócz śmierci nie widząc przed sobą”. Teraz czekam na stację końcową i zjeżdżam na bocznice. Jest grudzień. Siedemnasty. W Gorzowie Wielkopolskim deszcz podlewa kwitnące jabłonie. Koniec trasy, koniec pociągu, ostatni papieros i początek studiowania studentki, dwuipółletnia dziekanka lub powrót do przeszłości. Lete skleja powieki i śpi, składam na ustach jej pieczęcie (je t'embrasse), zamykam w dłoniach i idę tam, gdzie nie byłem.

NA SZLAKU. WSZĘDZIE TAM, GDZIE NIE BYŁEM

Szlaki dawno rozdzielczono z tajemnic, podobnie jak ludzi, spośród których ktoś może być twoim ostatnim słowem, drżącym nieustannie fiordy ducha jako krew falami niepoohamowana poszukuje tętnic, a w razie przerwania czeka odpływu. Tako są ludzie niepojęci, ni do kochania niezdatni, ni do wolności – nosiciele wieści daleko od Ziemi Obiecanej, bliżej raczej ostrych klów szatańskich zawieszonych nad ziemią i prowadzących w nieznane, gdzie skórzane usta zapięte wargami odbierają moc naszą mówienia i zawiązują myśli, by nie móc więcej uprawiać piękna danego (jakoby) przez Boga na tyle dobrego, na ile ponoć odbiera on rozum artystom z litości.

Tak zostałeś *artista giorno feriale* nie wiedząc jeszcze, że błędzić jest rzeczą ludzką, głupotą – schematy. Tak, nie wiedziałeś, że skrzydła podcinają nogi, a brak ich niweczy człowieka. Tak, nie dostrzegłeś, że na początku był ciężki szept zegara. Tam nas nie było. Cicho przelewa się czas nietamowany między południem naszego tryumfu, a klęską wieczorną w Szarm asz-Szejk, gdzie musi pęknąć serce choć jednemu z nas i oświetlić nocną wędrówkę ku przebudzeniu pozostałym, składającym przysięgę na Święty Confiteor.

Tak przed przysięgą na ziemi obiecane i księgi wszelkie rozwarłem gwałtem drzwi twego pokoju głuche i ujrzałem... obok bezwładu twojego wiecznego, jak grom, zawieszzonego pod sklepieniem ciała, starannie utkane na lustrze nici, niby ukrywające przed niewiedzą kim twarz *bosso artista giorno feriale*, któryś uciekł przed własnym odbiciem, a w prawym dolnym rogu nietknięty kokonem, wyjęty jakoby z piasków klepsydry napis prawdziwszy jeszcze ponad swe zwątpienie „Zapomniał przynajmniej o tym, co było dla niego najstraszniejszym, że żyje, że żyć musi”¹. Rozsiany makiem w słowach skreślił się z Księgi Życia, sygnował w niewypisywalnej.

¹ Cytat ze Stanisława Przybyszewskiego.

Tak tedy poszedłem tam, gdzie nie byłem (a szlaki dawno rozdzielczono z tajemnic), gdzie nie ujrzał mnie duch żywy, a jedynie woda, bez celu łaskocząca niewzruszony brzeg Ziemi Obiecanej, towarzyszem mi była w myślach:

- o młodości nieświadomej tak cudnie wolnej i swobodnie przeżywanej, niby praogiem zniczy;
- o tłumaczeniu szaleńczych koncertów Chopina i ostatnich nut Mozarta na język własny;
- o głosie wieczności i świętych ogniach, które nastawały przecież zawsze na ludzi zwykłych;
- o źrenicach niewieścich zamglonych, rankiem wylaniających się wraz ze słońcem z opadającej nocy;
- i o tym, że widziały mnie tylko z przeciwległego brzegu, a pień oceanu była zbyt kusząca;
- o mewie bezskutecznie walczącej na skałach o życie i nietoperzu żywcem pochowanym;
- o melancholii, gdy „na małą trumienkę spadły grudy ziemi, spadały i jęczały ostatnią kołysankę”²;
- o „Liście do pozostałych” i wszystkich przeklętych równie śmiertelnie, co wiecznie;
- o sakramentach prowadzących do synagogi szatana;
- o skrzywdzonych przez los i o losie (i pewny niepoznawalnego) o żadnej rzeczy, która Jego jest.

Tak to *idee fixe* spływały w morze w kierunku żeglarzy i łodzi ich, niby opierających się wpływowi myśli wszelkich, tak to zatonał *artista giorno feriale*, choć Księgi Nowsze pisały o miłosierdziu i dwojgu kamiennych tablicach pouczających na dziesięcioro sposobów:

- zgodnie nie miał Bogów cudzych poza tymi, których poligamicznie w jednej osobie wskazano;
- i czcił dni najświętsze w chwilach powszednich i ojca i matkę mimo ich odmienności od tego, który ich stworzył na swoje podobieństwo;
- i nie zabijał czasu, co zbrodnią było największą, a za co w pewnych epokach sprawiedliwie i jemu czas by zabrano;
- i nie kradł kości rzuconych, ni słów wiatrowi, jak mu wskazano;
- i nie łożył cudzo, jak i nawet w sposób prawy nie łożył, za

² Idem.

co niesłusznie uchylono mu wyrok grzechu pierworodnego, lecz sprawiedliwość ciałem się stała niebawem tam, gdzie nie byłem;

– i nie pożądał rzeczy żadnej poza posiadanymi, ani też innych żon, srebrników czy synów marnotrawnych.

Prawym więc był niemalże i podwoje niebieskie czekały (choć wybrałby zapewne setkę dziewic zasłużonych przez śmierć w Świętej Wojnie otrzymaną), a ja trafiłem tam, gdzie nie byłem (tym niemożliwiej wydaje się tam wrócić żywot tysięczny, a jedyny) i odgarnąwszy kokon czasu spotkałem Go w lustrze odbitego godzin kilka po tym, jak skrzydła podcięły mu nogi i uniosły ostatni raz pod sklepienie, dalekie od niebieskiego, bliższe znacznie szarości *vita bosso artista giorno feriale*, i lustro pękło na tysiącokroć pod ciężarem czasu, i prawdziwą odwagą wziął za nic, oczekiwanie na jeźdźców Apokalipsy.

I tak w niwecz obrócił myśli najgłębsze i pieśni artystów, i bogów, i ojców, i ziemię ojczystą, porzucił rosę płynącą drżącego ciała rytmem, i ruszył w ogień ubrany wspomnień płaszczem, zapomniał, że nie był, gdzie prawość się stała, i puste ciało zostawił na zawsze.

PUSTELNIA. POWSTANIE

Spośród mgły, którą mógłby opisać wyłącznie Poe, wyłącznie o włoskim brzasku, wyłonił się Niewolnik płosząc setkę białych gołębi i wzniecając tym samym trzepot skrzydeł tak ciężki, iż można by zamknąć jego echem epokę, jak wcześniej robotnicy zamknęli własną epokę sierpnia i młota. I cóż teraz? Obiecywano nam zstąpienie z „krytej trybuny nieba”, tymczasem zgrzytanie zębów poszło w parze z zstąpieniem Małego Chłopca, który stał się symbolem wielkiego przybycia czterech jeźdźców w jednej osobie. Tymczasem tu i ówdzie życie toczy się dalej. I cóż teraz?

Niewolnik nie mając pomysłu na swoją namiastkę wolności postanowił odnaleźć w sobie powołanie, a że czuł się w kościołach samotny (wszak człowiek tak wysoko spojrzeć musi, by dojrzeć sklepienia, a do wież krzyczących dzwonami „oto nastała chwila dla Boga” jeszcze dalej mu było), postanowił zostać poetą. I gdzie w tym gwałt? Wszędzie.

Platonyczną miłość do Boga odstawił więc na bocznicę i zmieniając tor postanowił dosiąść konia, którego nazwał Zwiastun. Szybko jednak zatopił się w poematach i przechrzczył go na Niewiastę, choć tej nigdy na oczy nie widział. W ten sposób pisząc o tym, co niepoznane, uzyskał jeden z przydomków poety i gwałcąc zawzięcie udał się w doskonałą widoczność i pobił rekord toru temi oto słowy:

„W tym świetle któreś z nas
sobie umrze. To drugie poczeka”^{*}.

Po skorygowaniu czasu w przeszłość okazało się, iż słowa te w podobnym zestawieniu pojawiły się już wcześniej, toteż Niewolnika zdyskwalifikowano za środek dopingujący słowa. Ambicja przerosła jednak uczciwość. I cóż teraz? Zrażony imieniem swojego wierzchowca (wszak na Niewieście się przejechał, a ponoć chciał dobrze) imię jego zmienił na Życie i wrócił do korzeni zagłębiając się w myślach

^{*} Wszystkie cytaty pochodzą z Andrzeja Sosnowskiego.

teologicznych. Uznał jednak, że nadmiernie wzrosło mu na tym zużycie czasu, a że był on coraz droższy (bynajmniej nie z powodu szalejącej inflacji, a z powodu starzenia się), porzucił myśli o nieznanym sprawcy życia tworząc jedynie Boską Listę Przebojów (kontrowersyjność rezultatu nie pozwala na jej przytoczenie). Tymczasem postanowił zostać jeźdźcem straconym, a jego pierwsza spowiedź przed nowym gatunkiem słowa okazała się ostatnią wśród ludzi. Sakrament zakończył się niepowodzeniem, Bóg nie wybaczył Niewolnikowi grzechów wtórnych, na domiar złego wytknął mu pierworodny, czym ostatecznie zniechęcił go do siebie. I cóż teraz?

Zawiedziony Niewolnik nie nadawał się następnego ranka w kopertach bez adresu, nie chciał bowiem odchodzić zbyt daleko, lecz zanim miał się zatracić, postanowił poznać uczucie, którego nazwanie jest mało poetyckie, a wręcz rażące. W każdym razie poczuł niepoetyckość już do drugiej poznanej kobiety (dlaczego nie do pierwszej – nie wiadomo), poczucie to jednak, podobnie jak rozważania teologiczne, uznał za stratę czasu, zwłaszcza, że właśnie przez kobietę (której wcześniej nie zaznał) stał się Niewolnikiem. Nim na powrót zamknął się w sobie (otworzywszy dla odczuć wyższych), spłoszony został przez setkę agresywnych białych gołębi, których niby kobiece twarze zdawały się wyrażać „Tyś spłoszył nas w świat, obiecując marne życie, teraz zostaniesz Winkelriedem, Hitchcockiem lub Bogiem właściwym”. I gdzie w tym gwałt? I cóż teraz?

Nastała noc, Niewolnik dosiadł Życia i poświęcił pełnię na prolog lektur klasyków, by o brzasku panicznie poszukiwać mgły (nie chciał bowiem spowodować, by pierwsze słowa, którymi namiętnie gwałcił pożółkły papier pod wpływem słońca oślepiły okolicę, zdradzając jego obecność). Udało się, zmęczony całonocnym szukaniem sensów położył się, okrył resztkami odnalezionej mgły w puchu i w półśnie zatonął w bezruchu. Nie próżnował. Śnił o poezji, składał jej na białej niczym welon poduszce pośladki, których niewinność inaczej oddać chciała (kiedy była ledwie wersem wkładała tę poduszkę pod bluzkę, udając brzemienną w skutki). W południe obudziły go ryczące czterdziestki kościołów. Poczuł się zgwałcony wszechobecnością tego, na co przyzwolenia nikomu nie dawał, a co mimo to było nieodłącznym fragmentem jego powolnego umierania. Poczuł, że traci wolność. Z drugiej strony, gdyby dostał wystarczające środki, recytowałby zapewne w południe z najwyższych wież dwunastozgłoskowce i również

uznałby, że wszystkim, lub choćby znacznej części mimowolnych słuchaczy jest to potrzebne. Nie ma jednak tego złego. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś (zanim został Niewolnikiem), jedyny jego przyjaciel powiedział:

– Tak jeden z nas zostanie mordercą, drugi zabije się sam, inni uśpieni nie pamiętają o budziku, który na pewno jeden z bogów włączy.

„Żeby uszło z nas co jest martwe
I co innego dotknęło do żywego
Tak opadło z nas co było martwe
I nie zostało jeszcze nic żywego”.

Tak oto pięciolinia strachu naga refrenami gwałtu uśpionej pamięci (niby to sen, niby zrywanie kwiatów na łące śniegiem ubranej, a niewinnie nagiej) powróciła z odmętów niewolniczej amnezji i spotęgowała myśl o nieuniknionej utracie wolności również ze względu na przeznaczenie (w które co prawda nigdy nie wierzył). Nie chcąc dłużej myśleć o zewnętrznym uciekaniu do samotności, niby inny świat, i spędził w niej lata całe, nie wiedząc o zdobytym wszem i wobec uznaniu dla swej osoby. Po wyjściu na wolność (pozorną) zateęsknił (z samotności) do krzesła w dawnym domu wysiadawanego, kawy z dawnego kubka pitej i przypomnianego szczekania psa (który jeszcze jako szczeniak zwieszczył tragizm żywota i zeskoczył z tarasu, choć pewnie i dziś niejedynemu świadek tego zdarzenia dałby zapewne głowę, że był to wypadek, ale ilu wieszczom motłoch zaufał od razu? Na wszelki wypadek właściciel wysłał serce szczeniaka do Paryża, resztę zakopał w ogródku). Nostalgiczne wspomnienia przerwała myśl, by teraz, w okresie artystycznego szczytowania spuścić z tonu, odwrócić się do gawiedzi plecami i pójść pod prysznic. Ale cóż to zmieni? Wyrwie z niewoli, ją przywróci. (Niewolnik zbliżający się na Życiu do mety nie wiedział już, czy wolnym jest, czy nie, i popadł w obłęd, dzięki czemu stał się już niemal poetą totalnym.) Z pytaniem o własną tożsamość zwrócił się do oblegającego samotnie tłum, z nawiasu uśmiechów wyłoniły się jednak dziurawe zęby rzeczywistości. I cóż teraz?

Dorożki rozjechały się do domów, a w nich tłum. I cóż teraz? Niewolnik przejechał się na Życiu, porzucił je i zapuszczony w nieogolone od dawna myśli został Pustelnikiem, napisał „List do

pozostałych znad Morza Białego” (listu do dziś nie odnaleziono), zatknął go szczerlinie w dłonie i spokojnie ułożył się do snu. Śnił o wolności „jakby jakiś demiurg puszczał kaczkę przez wszechświat siedząc na kamienistej plaży w skupieniu godnym lepszej sprawy”. Pustelnik zbudził się i wziął do ręki pióro. I napisał. I puściło oczko, a po chwili cały wers rozdarł się wołaniem o człowieczeństwo (naturalnie głuchym). I ostatni raz zgwałcony Pustelnik gwałcił, by wystrzelić z karabinu białą flagę. I z prochu powstał. I z niewolnictwa.

WEJŚCIE. TYLKO SZTUCZNE KWIATY NIE UMIERAJĄ

Poszedłem do Rafała, Piotra, Edwarda i wszystkich tych, których chyba rozumiałem najlepiej. Droga tą samą, chodź z różnych stron przebyta. Tak jest lepiej, zresztą inaczej być nie mogło. Przyszedeł czas. I jest uśmiech, jestem szczęśliwy, a jeśli nie jestem w ogóle, to szczęśliwy umierałem. Człowiek dożywający w głębokiej niezgodzie z otoczeniem i samym sobą dochodzi do momentu, w którym nie ma ani kiedyś, ani wkrótce, wreszcie przestaje być teraz i to jest moment, w którym, żeby nie przegrać z samym sobą, trzeba tego siebie przeskoczyć. Przeskoczyć w wielkie Gdzieś. Spójrzmy na to tak – życie to kwestia wyboru. Można rano wstać z łóżka i pójść do sklepu, można wyprowadzić psa na spacer, można zamknąć się w pokoju, można włączyć muzykę lub film, można napisać wiersz, można się zakochać, można pójść do kościoła, można pójść na piwo, albo umrzeć, więc dlaczego pewnego dnia nie wstać z myślą, że to już? Że tutaj już się skończyło, chodź można zrobić więcej, znacznie więcej, można lepiej, znacznie lepiej, można naprawić błędy, wiele błędów, można też popełnić nowe. Ale po co? Miliony symboli, od pasów na ulicach po brzytwę w dłoniach dziecka. Życie to symbole, głupota, maszyna, bez namysłu, bez głębokości, ludzie wchodzący w głębokość zazwyczaj postanawiają się utopić, siedzący na brzegu robią swoje, pozostali żyją tym, co przyniosą rybacy i nie zastanawiają się, może tak nawet jest lepiej, ale żadną sztuką jest idąc patrzeć na swój cień, jak podąża z nami, sztuką jest kłaść nogi na ziemię tak, by na tym cieniu nie stawać. Zazwyczaj staję na tym wąskim cieniu i chwięję się, chwięję się coraz bardziej i upadam, coraz wyżej się wznoszę i coraz niżej upadam, wreszcie upadam coraz wyżej i coraz niżej wlatuję; rozpiętość przestrzeni rośnie, rośnie też bełkot negatywny, kiedy po trzech dniach picia ukraińskiego spirytusu można już tylko zmartwychwstać, a Jezus nadal nie żyje. I tak właśnie źle wykadrowane sytuacje wpływają

na człowieka, wplątując w to jego otoczenie w momentach, kiedy zamknięcie się w sobie jest zbyt trudne. I tak z zamykania w sobie w otwieranie nakręca się popęd największy, do Hadesów, Rajów i Nirvan. To wszystko jest zbyt obcesowe (podobnie jak lalki, które się odłoży na półkę, po kilkunastu latach widać z ich oczu, że gdyby mogły żyć, popełniłyby samobójstwo lub siałoby postrach w okolicy; można się ich bać, ale trudno wyrzucić), chociaż ta obcesowość jest piękna, ale zbyt. Swoją drogą piękna jest ewolucja, droga obcesowości od opętania (z łaciny) do bezczelności (obecnie). Coś musi być w tym opętaniu, w braku spokoju, ognia najpiekniejszego zamkniętego w kominku w zimowy wieczór, który możnaby w każdej chwili przyćmić lub rozdmuchać. Rozdmuchiwanie jesteśmy przez ogół, przez obcych ludzi, przez słowa, muzykę i samych siebie. Za mało w tym samych siebie, za dużo w tym wpływów i łapania dnia w sprawach, w których znacznie lepiej byłoby złapać coś znacznie ważniejszego lub po prostu oddech. Wielu ludzi godzi się na tło, na zawsze, albo na wszelki wypadek. Nie jest jednak moim celem godzić się na cokolwiek, co nie układałoby się w jakąś konkretną, potrzebną i słuszną całość, na półśrodki, z których składa się doczesność, bo bazując na półśrodkach zapomnieliśmy już zupełnie, czym są całości, świat złożony z czterech puzzli, nie z milionów. Fragmenty tego wszystkiego porozrzucane są gdzie nie popadnie, wymieszane z tym wszystkim, co zbyteczne, co jest śmietnikiem i zakłóca tylko czystość tego, w co człowiek wierzy, kiedy jest jeszcze idealistą i nic nie wie o życiu, później nie dopuszcza do siebie, w końcu musi odpuścić i tego właśnie nie są w stanie znieść ci, którzy nie szukają nowych sposobów, a zagłębiają się w ten, w który wierzą, chociaż poziomość jest łatwiejsza od pionowości – trudniej ją wywrócić. Wchodzimy więc głębiej i szukamy (a skrywanie jest największą przyjemnością odkrywców) i nie znajdując i kręcimy się w kółko, gonimy własny ogon, zjadamy go sami, wiedząc przy tym, że bez tego ogona żyć się nie da, ale i bez zjadania go nie ma tu sensu. W końcu nasyceni żegnamy bliskich, piszemy ostatni tekst i umieramy z głodu lub wchodzimy na bieżnię, a pierwszy krok jest przyczyną śmierci z wyczerpania. Już czas. Jutro nowy dzień, pojutrze znowu, wczorajszy też był nowy, ale już nie jest.

DZIŚ NARESZCIE

Dziś nareszcie odchodzę tam, skąd przyszedłem i jestem pełen wiary, nadziei i niepokoju, ale nie niepewności. Pewny jestem wszystkiego, co było we mnie i poza mną, co stało się staniem, co zostało w zamiarach lub dalej jeszcze i jeszcze i cieszy mnie to ogromnie, bo dziś nareszcie odchodzę, bo życie jest cudowne i tylko w nim można błędzić i czuć człowieka i patrzeć mu w oczy i niezmiernie szczęśliwy jestem, bo dziś nareszcie nie dla kogoś lub przeciwko komuś, nie przez kogoś, ale dla siebie, więc kto był blisko niech mi to wybaczy, bo żal mi tylko, że będę tam czekał na was lub nie będę nic, bo dziś nareszcie idę tam, skąd przyszedłem, bo za dużo poznałem tu granic, które tak pięknie formują każdą cząstkę czasu każącą nam działać, a każde ich nagięcie, na które pozwala święta natura sprawia, że czuję, że te granice to piękno, zło, więc dziś nareszcie przepływam zupełnie i czuję się równie wspaniale, jak każdego dnia i każdej nocy, kiedy błędziłem lub odnajdywałem powody, żeby słuchać co mówisz i wierzyć w to, żeby pisać, co czuję i w to też wierzyć i przesiadać się do kolejnych pociągów, które wiozły mnie w światy zupełnie nowe i pozbawione definicji, a kończące się jak wszystko w każdym wdechu i wydechu, który próbuję powstrzymać, żeby sprawdzić czy abstrakcją jest, dlatego dziś nareszcie, bo może to tchórzostwo lub największa odwaga albo żadne z nich; wybór najnormalniejszy jak setki innych i gonienie za czymś, czego dogonić nie sposób i to jest piękne jak wszystko, co było i co będzie, a mnie ominie (przynajmniej tu), a wy tu bądźcie, gdzie tak pięknie jest, skoro tak przeznaczono, ja będę czekał cierpliwie na drugim brzegu, bo dziś nareszcie rozpędzam się i zatrzymać nie chcę już i nie potrafię, więc teraz płynę w zachwycie i pełnym wzruszeniu, a cudny teatr niech trwa dalej, póki nas wszystkich łódzie nie powiozą na wyspę, z której nie ma powrotu poza myślami, w których wciąż wracam i ty powrócisz czasem, bo to, co najbliższe, dalekie jest od rąk i spojrzeń, więc tańcz i licz wdechy, których sam już

nie zdołam policzyć, i kochaj dalej, jeśli potrafisz i trwaj do zmroku, bo kiedy zaśniesz i znów otworzysz oczy, nasza historia rozpocznie znowu bieg, mimo że dziś nareszcie, bo teraz właśnie podchodzę do ciebie po raz ostatni i pędzę na łódź, która powiezie, a przybiwszy do portu, zapłonie i skończy się jak nurt, który mnie sprowadził tu, skąd dziś nareszcie.

TOMASZ PUŁKA
godło „Haclav Vavel”

wyróżnienie w kategorii prozy



TOMASZ PUŁKA urodził się 21.06.1988 r. Jest laureatem kilku ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in.: im. Michała Kajki, „O laur czerwonej róży”, „O złote cygaro Wilhelma”, „Dżonki”. Stypendysta miasta Krakowa, gdzie mieszka i pracuje. Autor książek „Rewers” i „Paralaksa w weekend”. W przygotowaniu kolejny zbiorek poezji „Mixtape” i proza „Vida local”.

UŚCISKI I POGRÓŻKI. WYBRANE MEDYTACJE ANNY
ULEWICZÓWNY

31.

W mieście trwa remont. I ja czuję, jakby we mnie grzebali. Jakby budowali nowe ronda, kładli szyny tramwajowe, zrywając przy tym stare. Czasem przystaję na ulicy i zaczynam obmacywać swój brzuch, jakbym czekał na pierwsze kopnięcie.

Wieczorami siadam przed zeszytem i oknem, i podglądam. Dzisiaj mój sąsiad, a wasz bohater – dzisiaj wrócił z pracy godzinę przed zamknięciem sklepu, który znajduje się na parterze jego kamienicy. Kamienica jest szara i brudna, i kupił pomidory. Wcześniej był w kopalni, ale co tam robił – nie wiem, bo się nic a nic na górnictwie nie znam.

55.

„Jestem kałużą słuchu” powiedział Stępień, kiedyśmy szli obok Radia Kraków i oglądali neony płonące hologramowym światłem. Szliśmy równo, noga przy nodze i tylko brakowało, byśmy się za ręce, we trzech, złapali. Miasto, w opozycji do nas, z każdą minutą poważniało, jakby grało z nami w „pomidora”, co rusz zdobywając zwycięskie punkty. Śmiałyśmy się histerycznie, lecz na nic zdawały się nasze wspólne, skumulowane starania, by i na lśniące ulice wystąpił grymas uśmiechu, by grząskie ściany kamienic okrył stłumiony chichot, jaki obserwuje się w stypianym (?) towarzystwie, kiedy każde wspomnienie zmarłego przywołuje coraz to nowe wice na temat jego osoby.

79.

Pracowałam wówczas, w te chłodne dni września, w Ogrodzie Wewnętrzny. Każdego ranka sprawdzałam stan tui, ilość astrów,

porządek donic. Osiem godzin pracy, plus półgodzinna przerwa. Gazetka zakładowa. Związek zawodowy. Mieliśmy umowę z dystrybutorem kawy, więc pijałam czarną za osiemdziesiąt groszy, a automat zawsze wylewał poza kubek. Gdzieś zostawiłam kubek, tuż po tym jak wstałam. Teraz chodzę po pokoju a kubka nie ma. Nie pamiętam w którym pokoju się obudziłam. Nie wiem, czy pokój w którym jestem, jest pokojem z kubkiem. To trudne piękno, lecz piękno. Pościeram tylko kurcze.

85.

W 1982 roku Jerzy Putrament był w trakcie nieustającej przeprowadzki. Mieszkanie, które – przezornie – wynajął już w styczniu, czekało na meble do końca października. „Permamentna przeprowadzka Putramenta”, żartowali koledzy, a i sam Jerzy uśmiechał się pod nosem, odkładając od ust filiżankę w „Cafe Kolonia” na Placu Trzech Krzyży. Wiosna roku 1982 minęła spokojnie, leniwie, nie odkładając się nazbyt na pejzażu miasta i scenografii ulic, co Jerzy Putrament cenił sobie wyjątkowo, nie znosząc błotnistych kałuż i brudnego śniegu. Co dzień otwierał oczy o godzinie piątej trzydziści i przez piętnaście minut walczył, leżąc jeszcze nakryty kołdrą, ze snem. Później odbębnienie rytuału: pierwszy wyimaginowany papieros, kawa, drugi wyimaginowany papieros, herbata i grzanki z dżemem, trzeci wyimaginowany papieros. Bowiem palić przestał Jerzy Putrament już w roku 1978, kiedy to lekarz wyznał mu zawstydzonym głosem (był bowiem miłośnikiem twórczości Jerzego), że – jeśli w dalszym ciągu będzie pan palił dwie paczki sportów dziennie, to niewiele panu czasu zostanie. Na co Jerzy Putrament westchnął z politowaniem dla młodzieńczej i nadętej frazy lekarza (która była na domiar złego podszyta wstydem!), po czym zaprzestał palenia. Od czerwca 1978 roku, Putrament palił tylko wyimaginowane papierosy, co polegało na łapczywym miarkowaniu „zaciągania się” przestrzenią pomiędzy złączonymi palcami: wskazującym i środkowym. Lecz wróćmy do tego deszczowego popołudnia, które zastało Jerzego Putramenta z kartonem książek w rękach, wspinającego się po krętych schodach do swojego nowego mieszkania. Padało już od rana, lecz kiedy Jerzy, jak co dzień, wstawał i oddawał się niezmiennemu rytmowi poranka – o szyby leciutko bębniła mżawka. Na dobre rozpadało się, kiedy Jerzy zdążył ostatni raz, przed wejściem do kopalni, rzucić spojrzenie

na gmach kombinatu. Więc później, już po wyjściu z pracy, Putrament brodził w strugach deszczu, starając się w myślach ominąć to ograne, niefortunne określenie, oddające jego fizyczny stan, czyli: „brodził w strugach deszczu”.

14.

To biegnę szybciej, dym, strasznie dużo dymu, ale biegnę jak szybko tylko mogę. Uciekam przed czymś? Nie mam pojęcia, ale biegnę i czuję, że stopniowo, „krok po kroku”, staję się boso, po chwili nagi. Biegnę tak całkiem goły, dym, strasznie dużo dymu, nade mną jakieś czerwone łuny, ale biegnę i staram się przypomnieć jakieś, jakiegokolwiek łacińskie przysłowie (nie mam pojęcia dlaczego), ale kiedy wpadnie mi do głowy jakieś *memento mori*, czy *carpe diem* to odrzucam automatycznie, bo jestem przekonany, że coś pomyliłem. Biegnę, jest mi zimno, aż zdaję sobie sprawę (przypominam?), że stare gry telewizyjne miały taki mechanizm (np. jakiś tam „motocross”) w którym obiekt, którym się rzekomo poruszało był stateczny, a zmieniało się tylko tło. To sobie to przypominam, ale od razu staram się tej myśli pozbyć, bo mam przeczucie, że mogłaby mi ona zaszkodzić (?). Później taka przejściówka, że zapalają mi się włosy na nogach, ale tylko one – skóra już nie – ale płomienie idą w górę, palą mi się włosy łonowe, te na brzuchu, wokół pępka, wokół sutków, głowa. To jest jak gdyby oderwane od „biegu”, który po chwili powraca. Biegnę i biegnę, przypominając sobie ideę „przypominania sobie czegoś we śnie”.

103.

Pamiętam płomyki nad rzeką, układające się w „wyraz”. Kiedy wychodziliśmy, jeszcze śpiący, żeby zdążyć przed kościołem, który o szóstej (babcia mówi: „Trzeba jutro wcześniej wstać”). Mam lepkie ręce, na skórze złotą farbę. Światła zachodzą na siebie i warunkują sen (jeszcze nie ostygłe lampy). *Mniszka śródziemnomorska żywi się przede wszystkim rybami, które śnięte leżą na dnie wanny*. Każdą z osobna wcieram sobie w twarz, smak mają słony, szczypią mnie oczy. Ledwo widzę, ale staram się dokończyć. Przecież nie wypada przestać, skoro już się zaczęło, skoro *tesknimy teraz, bo jakże stroskane zmysły winić za to, że drżą i kurczą się, gdy całe wewnątrz istoty się nie widzi?* Nie ma obecności, ni miejsca w sobie (choć wpisać „się w siebie”

to coś całkiem innego, aniżeli zawrzeć „siebie w się”) *jak ów obraz sztyletu w powietrzu*, który – choć „wisi nad nami” – to funkcjonuje tylko wobec związku jaki tworzy krew i o krwi mówienie.

22.

Po powrocie do mieszkania czułam się jak woda, w której Piłat obmył ręce.

54.

Pracowałam wówczas w zabierzowskim Gellwe, przy pakowaniu napojów energetyzujących. Byłam jak limitowana seria coca-coli: dla wszystkich, a jednak kusząca i oryginalna. Jednorazowa jak te plastikowe siatki, co je ze sklepów wycofali na rzecz rozkładających się (!).

90.

Pozwól brodzie rosnąć powoli, nawet jeśli mam na myśli część ciała, tę ze skóry, tutaj.

8.

Historia jest dosyć ciężkostrawna: wyjeżdżających z Krakowa w stronę Mogilan żegna reklama akcesoriów budowlanych z hasłem „INTELLIGENTNY BUDYNEK”. To jeszcze nic takiego. Otóż, będąc kiedyś w Świnoujściu, wychodząc z knajpy i chcąc się wysikać, napotkałem ten napis na ścianie surowej, niewykończony kamienicy. Sprejem. „INTELLIGENTNY BUDYNEK”. I kiedy tylko zacząłem sikać, tuż obok napisu, z okna nade mną wychylił się kudłaty łeb i donośnym, lekko zachrypniętym basem powiedział – „Tu się kurwa nie szcza” – a krople jego śliny, gdy tylko przestraszony podniosłem głowę, skropiły moje oczy i na powrót widziałem, trzeźwiejąc jak policzkowany.

Kolega Adam opowiadał: „Nie miałem gumy, chciałem dobrze dla nas obojga, więc przerywany, więc ja w niej, głęboko, coraz głębiej, no i wyjść muszę spod powierzchni, to i wychodzę, i tak wyszedłem, że sobie w oko strzeliłem”, a później zasypiał. Na czymkolwiek.

192.

Śniło mi się, że ludzie nie piszą pamiętników, tylko „dekamerony”.

42.

We Wrocławiu, tuż pod hotelem „Tumski” a za plecami policyjnego patrolu, Ryba opowiada: „Synek, kurwa, rozumiesz – ja od gówniarza mam przejebany instynkt antypałowy. Takim szczyłem byłem, pięć może lat miałem, się bawię takim żółtym samochodzikiem, ale chujowy był strasznie, bo cały z plastiku, no i bawię się tak w tę i tamtą, aż tu nagle, kurwa – idzie chuj za mną! (tutaj Ryba obrazuje), no to ja spierdalałam! Kumas, kurwa, synek, pięć lat miałem, gówniarzem byłem...”.

20.

Na koncercie „Chłopomanii” rzuciłem się ze sceny, ale nikt mnie nie złapał. W rezultacie popsułem telefon. Brak komórki („brak komórki”) uświadomił mi, że „dawniej” ludzie poświęcali więcej czasu na opowiadanie sobie tego całego „między”.

67.

Kiedy rozgrywają się te wszystkie historie, które się nam przydarzyły, a o których rozmawiamy spotykając się, skoro każde spotkanie spędzamy na opowiadaniu sobie historii?

ALEKSANDRA PAPROTA
godło „Dom”

wyróżnienie w kategorii prozy



ALEKSANDRA PAPROTA urodziła się 15.04.1987 r. Studiuje filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. W sierpniu 2008 r. zadebiutowała zbiorem opowiadań „Miastka Zapomniane”. Interesuje się baśniami, twórczym myśleniem, pisaniem oraz terapeutyczną funkcją literatury.

WYJŚCIE Z DOMU

Zacznę powracać. Tak bardzo się boję, że nie wyruszam w drogę. Zresztą, nikt mnie w nią nie wysyła. Nudzę się okropnie, udaję że jeszcze pasuję. Lecz dom już się we mnie nie mieści. Mama pomaga mi obcinać palce i pięty. Lecz nie mogę włożyć stopy do bucika. Jest mi tu dobrze. Niewinnie rozkosznie. A za oknem Wiosna. Deszcz. I Smród. Siedzę cichutko. Idealna. Grzecznie zachowuję się przy stole. Mówię wszystkim: „dzień dobry!” i „do widzenia!”. Wtedy, kiedy trzeba. Wszyscy mówią, że jestem dobrze wychowana, i że zawsze wiem jak się zachować. Wieloletnie bycie dzieckiem trzymającym się kurczowo maminej spódnicy prowadzi do zdumiewających efektów.

Chronię się przed tym, kim mogłabym być. Przerazają mnie krzyżujące się dróżki i pędzące po nich ślimaki. Te rozmowy, takie nagłe zatrzymania, zmiana piasku i kamieni. Ślady po ślizganiach i zacieranie śladów. Ja chcę być teraz. Na tej jednej. Odciętej od towarzystwa, zablokowanej w rozwoju. Zapomnianej przez zagadane koleżanki. Przewiązanej moim ciałem. Przykutej do podłoża, tak jak łóżko, które Mama posądza o nadnaturalne zdolności do kurczenia. Dla mnie nie ma: było i będzie. Nie chcę dźwigać wiader pełnych brudnej wody. Pozwalać się poniżać. Wzrastać przez umniejszanie. Chcę być Tu. Choć Dom w końcu pęknie i będę musiała znaleźć inne schronienie. Ale ja nie chcę planować. Konstruować. Zastanawiać się, czy się dobrze osadzi, czy dym z kominka nie będzie niszczył przyrody. Wolę mieszkać w cudzych domach. Wiem, że wszędzie mnie przyjmą. Jednak nie poszukuję, bo tu jest mi dobrze. Nie trzeba wychodzić. Tak jest bezpieczniej. Mama próbuje mnie przygotować. Do tego Innego Domu, gdzie będę Taka-Jak-Ona. Ale nie chce mi nawet kupić nowych pantofelków. Gdy tylko pojawia się królewicz – z bucika wycieka krew i wydaje się, że nie taka jestem. Ubytki w stopach nie mogą odrosnąć.

Mieszkam w trumnie i zachowuję się tak, jak przystało trupowi. Trumna nie urośnie, więc ja też nie mogę. Lecz kiedyś powrócę do Domu. Do ledwo napoczętego Domu. Tego prawdziwego. Którego koniec niejednym raz przepowiadali. Boję się tego powrotu. Piramidy schodkowej. Punktów uświadamiania. Poznawania. Przemieniania. I punktu kulminacyjnego. Konfrontacji z ziemią. Bycia karakonem.

SKRZYŻOWANE KOŁA

Jesteśmy dwoma nadzianymi na siebie kołami. Przyczepione do nitki – wirujemy. By symulować kształt doskonały. Nie wystarcza Im nasza niekanciastość. Powinniśmy być bardziej wszechstronne. Wielowymiarowe. Dlatego krążymy jak zechce Ręka. Wtulając się w nasze pokaleczone ciała. Modlimy się do Ręki, byśmy pewnego dnia przecięły się na pół. Nie musiały się obracać. Zaokrąglać. Wisieć na choince. Lecz Ręka dba o to, byśmy się nie przepracowały. Wykonujemy piruety tylko dla niej. Nie pozwala innym nas dotykać. Gdy skończą się Święta – przestaniemy wirować. Lecz nikt nas nie rozdzieli. Nie wypełni amputowanych kawałków. Nie zlepi. Nie zszyje. Pewnego dnia Ręka o nas zapomni i już nie zagościmy na drzewku. Gdy wyblakniemy. Odkryje powabniejsze papierki. Stworzy z nich koła. I potnie je. Zespoli je. By czyniły to, co my.

NIEPROSTA

Chciałabym być linią. Biegnącą bez przeszkody. Ciągnącą się wiecznie prostą. Nie musiałabym zawracać sobie głowy zawracaniem. Powtarzać tego samego schematu. A nawet jeśli rzeczy okazałyby się niezmiennie – ja bym tego nie widziała. Wszystko wydawałoby się nowe. Nie byłoby utartych ścieżek. Wytartych dróg. Nie napotkałabym śladów moich potknięć.

BIAŁE PLAMY

Jesteśmy cenzorami. Rękami zasłaniającymi oczy przed nieprzyzwoitymi scenami. Kiedyś zamieszkiwały nas krasnale, lecz teraz nie ma już takiej potrzeby. Jest nas coraz mniej i nie trzeba nas znakować. Niedługo wyginiemy. Na mapie już nas prawie nie ma. Czekamy na katastrofę naturalną. Katastrofę globalną. Byśmy się mogły odrodzić. Coraz mniej nas w myślach. Rzadko pojawiają się

między słowami. Nie potrzeba przerw. Przystajemy błyskawicznie. Komunikujemy nieustannie. Wyrazy zahaczają o siebie. A te w Umyśle zaczepiają się. Dochodzi do kłótni. Ledwie dostrzegalnych bijatyk. A przecież byliśmy dla ludzi mgłą. Mleczną drogą, organizującą życie całego Miasta. Śniegami zasypującymi domy każdej zimy. Teraz, gdy Świadomość się nas wypiera – zasiedlamy inne rejony. Działamy w snach. Po kryjomu. Wczoraj stworzyliśmy koszmar z niepozornych. Białych Ubrań. Zajmujących wieszaki w jednym z większych sklepów galerii. I mimo, że wyjście było widoczne. Nic nie stało na drodze. Miała trudności z dostaniem się do nich. Biel przyciągała. Uwodziła. Zamykała w zaśnieszonym sześcianie, wyciętym z niezabudowanej przestrzeni.

WYZNANIA PISARZA

Jestem stworzeniem uzależnionym od pisania. Myślę akapitami. Z rzadka jednak wyróżniam strofy. Mój dom jest niewielki. W sam raz dla jednej osoby. Brak w nim rozdziałów. Zbędnych dygresji. Pobocznych postaci. Jest z pogranicza, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie mogę przestać spotykać niedoszłych bohaterów. Wszyscy przekazują mi znaczenia, których pojęć nie jest mi dane. Oni pragną wedrzeć się, choćby do najkrótszego obrazka. Lecz ja nie mogę ich tam wszystkich zmieścić. Oni nie chcą zrozumieć. Nie wiedzą, jak to jest być na moim miejscu. Tak bardzo pragną znaleźć się w ciasnych ramkach. Na przestrzeni wachlarza. Że nie podejrzewają nawet, jak trudno jest przekonująco uzasadnić swoje istnienie. Jeśli im się to nie uda – będą takie jak ja. Wciąż starające się wyglądać jak postaci z krwi i kości. Ja jestem autorem, który tak bardzo pragnął zostać bohaterem opowieści, że zamknął się w tych słowach.

JA

Nie mogę przestać wzrastać. Zaprojektowano mnie tak, bym nigdy nie dorósł. Bym czuł, że jeszcze nie przyszedł czas, by opuścić dom. Bym pozostał zawsze sobą. Swoim ciałem. Bym się z siebie nie wydostał. Jestem fraktalem. Powielaną w nieskończoność strukturą, znajdującą się wokół Centrum, którego nie poznam. Dlatego nigdy nie wydostałem się na Zewnątrz. Nikt, kto mógłby mnie odczytać – mnie nie zobaczył. Czekam jak śpiąca królewna. Aż ktoś przedrze się przez

gąszcze drzemiących pokoi. Aż ktoś wylamie wszystkie drzwi. Wyjmie z szafy trupa i zatańczy z nim. Ożywi mnie. I ciała rozkładające się w drodze.

CAŁA JESTEM NAIWNOŚCIĄ

Cała jestem Naiwnością. Mam miękkie włosy. Gładkie policzki. Kruche paznokcie. Pełne iskier oczy i dziecinne rysy twarzy. Mam piegi na nosie. Nawet w zimie, cała ze sobą współgram. Moje niezdarne kroki, przesadzone gesty – toczą się w niezmaconym rytmie. Pobrzmiwa we mnie ironia. Mam nos z garbem godnym Leśmiana. Kanciaste krawędzie stóp. Dłoni. Boków. Szyderczo rozszerzające się ramiona i różniące się wielkością uszy. Mój nos zawdzięcza swój kształt spotkaniom z latarniami. Na moich brwiach wciąż widać ślady rendez-vous z parapetem. Moja głowa już nie jest taka jak kiedyś. Skrawki grupują się, by ukazać niepokój. Radość czy grymas. Sprzeczne siły łączą się i stwarzają mój obraz. A ludzie patrzą – przez swoje układy. I widzą w nich moje biedne odbicie.

PIOTR ROWICKI
godło „Zebra”

wyróżnienie w kategorii prozy



PIOTR ROWICKI urodził się 29.08.1975 r. w Ostrowi Mazowieckiej, historyk. Debiutował w 2001 r. na łamach Dolnośląskiego Rocznika Literackiego „Pomosty”. Nagradzany i wyróżniany w kilkunastu ogólnopolskich konkursach prozatorskich i poetyckich. Laureat m.in.: XIX Konkursu im. Józefa Ignacego Kraszewskiego w Białej Podlaskiej, XXIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Jabłoni” w Grójcu oraz II Konkursu Poetyckiego im. Jana Kulki w Łomży. Laureat XI i XV edycji „Krajobrazów Słowa”. Autor dwóch książek „Mężczyzna i Bestia” (Wydawnictwo Finalik, Warszawa 2005), „Przed górami, przed lasami czyli bajki dla dorosłych” (Wydawnictwo Kos, Katowice 2005).

MURZYN

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Piszę do ciebie drogi ministrze sprawiedliwości, bo nie ma jej w naszym mieście. Pisałem do różnych, do gazet, do telewizji, żadnego odzewu, jestem szkalowany, moja rodzina pozbawiona została środków życiowych, nie mam już żadnej nadziei, ale się nie poddaję, jak ten Słowiński w okopach Woli, jak Kamil Wallenrod, jak Baczyński w listopadowym powstaniu, muszę i stać będę na straży mojego honoru, bo to honor mojej rodziny, mojego miasta i mojej umiłowanej Ojczyzny.

Zanim wyjaśnię jaka mnie przykrość spotkała, mówię jak jest, gwoli prawdy, antysemitą ani innym rasistą nie jestem, inne nacje cenię, chociaż uważam, że naród nasz jest w świecie wyjątkiem. Ja, mimo że całe życie ciężką pracą się utrzymywałem, w wolnym czasie rozmaite lektury czytałem i swoje wiem. Naród nasz z różnych stron był atakowany i nigdy bez zdania racji innych nie atakował. Żył sobie w spokoju, do kościoła chodził, po cudze mienie łap nie wyciągał, chyba, że złodziej jaki. Nie mówię, że w kraju naszym złodziei nie ma, owszem są, ale tu chodzi o inne sprawy, o to, jaki my naród stanowimy, nie przez czyn jednego czarnego barana, ale w ogólności całej ludzkiej. W żadnej książce nie jest napisane, że naród polski napadł na jakiś inny naród, czy to sąsiedni, czy inny. Chińczyk czy Japończyk nie może o sobie tego powiedzieć. Niemiec wiadomo jak to Niemiec jest karny, jak mu Hitler kazał mordować, to szedł. Ruski to samo. Amerykanie bardziej są perfidni. Bywa prowadzą wojnę a wszyscy myślą, że pokój wprowadzają, to się nazywa polityka, a ja się w politykę mieszać nie zamierzam. Mi chodzi w szczególności o to, że Polak jako taki, do żadnego innego człowieka nienawiści ani innego złego uczucia nie czuje. Polak jest jak ta Matka Teresa, od ust sobie odejmie i innemu odda. Polak choćby podstępnie był z dwóch

stron przez wrogów napadany, on trzecią stronę nastawi i czekać będzie. Polak jest jak ten pies zbity, co za wierną służbę byle kością się zadowoli, nagrody wielkiej nie oczekuje, wie gdzie jego miejsce, gdzie łańcuch, gdzie buda. Polak szczeka, ale szczekać na siebie nie pozwoli, dość tego, w imię Trójcy Przenajświętszej, dość!

Ja tak przez rodziców moich, świeć Panie nad ich duszami, wychowany byłem i tak w życiu postępowałem. Dopiero jak w Ameryce zobaczyłem co i jak, to mi się oczy otworzyły. To dziki kraj. Westerny dawniej oglądałem i nie wiedziałem, że tam do tej pory bezprawie i ogólna swolocz. Na własne oczy przekonałem się jak sprawy wyglądają. Murzyn to jest człowiek z natury swojej leniwy, myć się nie lubi i w ogóle ma do egzystencji lekkie podejście. Niczym się nie przejmuje, roboty nie szanuje, o przełożonych nie wspominając. Jak jakaś robota to murzyni biorą ją w ciemno, a dla ludzi białych zostają same ogony. Jest ich tam całe mrowie, trzymają się razem i nic im zrobić nie można. Poczułem na sobie, co znaczy murzyńska mafia i wiem, że z nimi wygrać się nie da. Jako Polak z natury, żadnej do nich złości, ni nienawiści nie czułem, żal może jedynie, że przez nich muszę najgorsze roboty łapać, z wybieraniem górien z szamba włącznie. Każdy radzi sobie jak może, i nie mam o to do murzynów pretensji, że są murzynami. Też mieli życie niełatwe, kiedy ich rodacy statkami z Afryki porwali i na obcą ziemię, dla zysku przywieźli. Też im nie było przyjemnie w pocie czoła, w słońcu i deszczu na niewolniczych plantacjach za miskę ryżu zasuwać. Ale te czasy się skończyły i człowiek czarny głowę podniósł. Silny jest, bo w kupie. Bywa złotem obwieszony i z samochodem takim, że u nas sam prezydent lepszego nie ma. I czy się od tego luksusu przewrócić we łbie nie może? Może, w szczególności jak się z kontynentu afrykańskiego swoje korzenie wywozi, gdzie bieda jeszcze straszniejsza niż u nas w łomżyńskim, na przednówku. Przewraca się takim i to jak, do góry nogami. Murzyn amerykański dla białego człowieka resztek szacunku nie ma, z drogi mu nie ustępuje, jeszcze go wyzywa, bije i prześladowuje. Dochodzi do tego, że podobno w Białym Domu ma być czarny, co się może skończyć końcem świata, bo napisane jest tak w Nostradamusie i ponadto również u Sybilli.

Ja, wielce szanowany panie ministrze od sprawiedliwości, niczego w życiu za darmo nie dostałem. Uczenie się kapitalizmu na własnym organizmie bywało bolesne. Każdą porażkę, zamieniałem w dziewięćdziesiąt dziewięć sukcesów. Popłynąłem na elektronice, odbiłem na spirytusie. Czy ktoś dzisiaj pamięta royal? Królewski trunek. W ciągu kilku miesięcy padł monopol spirytusowy, od czasów piastowskich podstawa państwowego budżetu. W połowie dziewięćdziesiątego trzeciego, a może czwartego... wyszedłem z detalu. Kupiłem mieszkanie, samochód. Zostałem przedstawicielem handlowym. Pierwszy służbowy samochód, pierwsza komóra – cegła. Jeszcze bez laptopa. Przeszedłem pierwsze szkolenia. Dzień dobry, jestem przedstawicielem amerykańskiego koncernu spożywczego. Witam serdecznie reprezentuję holding odzieżowy. Kłaniam się, jestem z brytyjskiego koncernu kondoniarskiego. Uśmiecham się jak pajac na pociągnięcie sznurka. Uśmiech to połowa skutecznej prezentacji. Druga połowa to kłamstwo wypowiedane tak, jakby było prawdą. Zmieniałem firmy, branże, regiony. Czy to nie zabawne? Prawie w każdej, kolejnej firmie moje stanowisko nazywało się inaczej, a robiłem to samo: Konsultant do spraw sprzedaży, Product Specialist, Sales Specialist, Doradca Handlowy, Specjalista do spraw kluczowych klinów, Młodszy Kupiec, Starszy Handlowiec, regionalny Przedstawiciel Handlowy, Specjalista do spraw Rozwoju Sprzedaży, Reprezentant, Koordynator Sprzedaży. Zawsze byłem najlepszy. Najszybszy, najbardziej pazerny. Nie miało znaczenia czy sprzedawałem bezściągaczowe skarpety czy systemy grzewcze. Tyle tylko, że po kilku miesiącach czułem, że na moim garbie dorabiają się inni. Dostawałem ochłapy. Byłem idiotą, wierząc, że gdzieś indziej jest inaczej. Zmieniały się nazwy, zasady pozostawały te same. Firma dzieliła się na prezesa z dworem i wołów. Ładnych parę lat zajęło mi uświadomienie sobie, że nie chcę żeby na moim nagrobku pisało: „Tu leży wół roboczy, zaharował się na śmieć, przechodniu jeśli chcesz spluń na niego”. Któregoś dnia powiedziałem sobie: Koniec kurwa mać, teraz zarabiam dla siebie. To jest moje credo.

Drogi ministrze piszę do ciebie, jak się domyślasz, z zakładu karnego, gdzie znajduję się obecnie za całkowitą niewinność, na co mam licznych świadków. Nie wiem od czego zacząć, bo to wszystko jest bynajmniej bardzo skomplikowane. Jakiś czas temu wróciłem

z Ameryki. W czas wróciłem, bo dolar na łeb na szyję poleciał i robić się ani siedzieć nie opłacało. Sobie minister pomyśli, kiedyś moja matka, jak w osiemdziesiątych latach pojechała, to po powrocie nie tylko dwa domy wybudowała, ale i bizon kupiła, samochody, że o futrach i innych pomniejszych wyrobach jubilerskich nie wspomnę. A teraz czwarty rok mijają, a my z żoną ledwie na bilety powrotne odłożyliśmy. No, przesadzam trochę, parę zielonych w skarpecie miałem. Toteż wróciłem do O. jakoś tak na początku kwietnia. Przed Wielkanocą. Żona została, bo jej się trafiła niezła fucha na domkach i do wakacji miała przebidować. Dzieci nasze są studiujące i dodam, że to mnie dużo kosztuje zarówno zdrowia jak i pieniędzy. Wojtuś na informatyce jest, będzie miał kiedyś chleb lekki, ale tymczasem ciągle rękę wyciąga i weź tu takiemu nie daj, jak go od małego człowiek na rękach nosił i wszystkim dobrem rozpieszczal. Weronka na dentystkę się uczy, tak sobie pomyślałem, żeby na starość mieć opiekę przynajmniej w tej kwestii zapewnioną. Śliczna z niej dziewczyna, postawna i chłopaki się za nią oglądają, ale ona tylko książki i książki. No i znów płacić trzeba. Stancję płacić, życie płacić, wszystko płacić. Tylko brać skąd nie ma. W Wielką Sobotę kumpla spotkałem, Kazika, którego danych personalnych zdradzać nie chciałbym, bo mógłby sobie nie życzyć tego. Przy wódce rozmowa, jak to bywa zwyczajnie, na biznes zesła i Kazik mi mówi, że jest w O. interes nie wymagający wiele gotówki, mianowicie solarium. Jest to, jak mówił Kazik, worek bez dna, babeczki od rana do wieczora opalać się przychodzą, czy świętek czy piątek czy popielcowa środa. Kobita to jest taki zwierz, że choćby kredyt miała w providencje wziąć, to wyglądać musi luksus. Żeby sobie nie pomyśleli, że ją nie stać. Interes ten miał do sprzedania znajomy Kazika, imieniem Bogdan. Wszedłem w to bez wahania. Szczególnie jak mi powiedział dwie rzeczy, pierwsze primo – dziesięć tysięcy miesięcznie piechotą nie chodzi, po drugie, jak się człowiek dobrze zakręci i ustawi umiejętnie, to od rana do późnej nocy będzie sobie na gołe cyce patrzył i jeszcze z tego ecie pecie mieć będzie. Mojej nic nie powiedziałem, bo i po co. Jak się interes ustabilizuje, to jej co i jak powiem, po co mam jej wrzasków wysłuchiwać i stu tysięcy powodów. No. Z Bogdanem żeśmy się notarialnie ustawili zaraz po lanym poniedziałku. Wódeczkę za pomyslnie wypiliśmy, przy tej okazji, Bogdan ze szczegółami zdradził mi co i jak funkcjonuje. Że te siostry Nieborowskie to syf i popelina. Sam widział jak sobie watę w cycki wkładają, a na nogach

rozstęp taki jak okop przeciwczołgowy. Dupcie może mają i zgrabne, ale jak się wszystko weźmie do kupy i pomyśli z kim się zadawały, to się odechciewa. Bogdan prywatnie wolał te młodsze, takie szesnastki, co ich nawet z nazwiska za bardzo nie zna, ale po tyłku, to by je w piekle poznał. Tyłki według Bogdana dzieliły się na jednorazówki, minutówki i tyłki anielskie. Jednorazówki to tyłki nie warte nawet jednego spojrzenia, obwisłe, utłuszczone, sfaldowane i pomarszczone. Tyłki beznadziejne i wstrętne. Takie tyłki mają w większości urzędniczek z miasta i starostwa, nie licząc paru stażystek. Minutówki, to tyłki rokujące nadzieję. Albo trochę zbyt płaskie, albo trochę za obszerne, w każdym razie przy odrobinie wyobraźni można je przelknąć. I tyłki trzecie, których w O., jest może dziesięć, w porywach jedenaście, to istne skarby, sanktuaria na dwóch nogach, cud miód i rozkosz bogów. Anielskie poślądki. Bogdan się rozrzewnił, a to z żalu, że interes musiał sprzedać i tak wspaniałych widoków się pozbawił, co było stratą o wiele większą, niż te marne dziesięć tysięcy przychodu. Z Bogdanem rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni. Od dnia następnego otworzyłem interes i z niecierpliwością czekałem. Czekam, czekam, mija godzina, druga, no dobra, nie ma co, po świętach ludzie po domach siedzą, czasu nie mają, albo się poprzeżerali. Krzyżówkę rozwiązuję, marlboro palę, druga godzina, pies z kulawą nogą się nie zakręci, mówię sobie w duchu, piździec, jeden dzień przyjdzie na straty spisać. Do wpół do czwartej przesiedziałem. Do Bogdana dzwonię, co i jak, ale miał komórkę włączoną, widać samochodem gdzieś jechał. Wkurzyłem się i mówię, co będę tak beczynnie czekał. Zamknąłem interes i sam do tej maszyny się kładę. Osobiście jestem jasnej karnacji, toteż włączyłem sobie na początek dwadzieścia minut. Myślę, moja daleko, może jak się zrobię na ciemno, to jakąś tu sobie kobitkę przygrucham, forse mieć będę, naprzeciwno jest fryzjer, na Beckhama się zrobię, gajer na plecach i w O. Co tam O. Warszawa cała. Nikt nie powie, że pięćdziesiątka na karku. Brzucha nie mam, bo jak się po dachach pięć lat skakało, to się brzucha nie ma. Się z tymi Portorykami zadawałem, to sam teraz będę jak Latynos. Kurwa jego mać, żem to chyba w złą godzinę wypowiedział, tfu na psa urok! Nic, na razie leżę i myślę. Samochód jakiś z wypasem do tego, widziałem, stał w komisie, nissan patrol, co prawda w benzynie, ale ileż to roboty godzinę zagazować. Tu zaraz za miastem instalacje fachowcy zakładają, że się masz Wiktor, nie ma to tamto. Passata gość miał w benzynie, dziesięć mu palił, to go wkurw

brał, zagazował i co? W dziewiątce się mieści. Sam mi mówił. A gaz tańszy połowę. Także leżę w tej szklanej trumnie i myślę, ale coś mnie swędzić zaczyna i jakby piec trochę. Zapach się taki zrobił jak na wsi przed świętami, normalnie wypieki. Wyłażę i do lustra idę, i poznać się nie mogę. Czerwony jak chińska flaga, oczy mi tylko świecą, jak te żółte gwiazdki. O żesz ty w mordę! Pod wodą zimną, nic. Nivea się wysmarowałem i jakoś pomogło. Ale mówię panu, masakra to była. Następnego dnia zobaczyłem w lustrze rasowego murzyna.

Może się pan minister śmiać, ale prawda była bolesna. Murzyn jak sto pięćdziesiąt. Czarny od góry do dołu. Wszystko miałem czarne, licho mnie podkusiło żeby w tą cholere się kłaść, widać była zepsuta, wiedział Bogdan co robił. Pal licho forse, jakoś odżałuję, ale co robić, kiedy człowiek tak wygląda? Siedzę dzień cały w domu, myślę do jutra przejdzie, kąpiel za kąpielą, mydło, szczota, gówno! Pod wieczór byłem jak smoła. Jak sam diabeł. Nic tylko sznur na szyję i się wieszają. Ale nic, w barku miałem pół litra, to na smutki wypilem. Trochę mi przeszło, nie, że ze skóry, tylko z serca, jakoś tak jaśniej się zrobiło. Mówię sobie, jakie to ma znaczenie, skóra to tylko skóra, a jak w środku człowiek dobry, to co za różnica, czy na zewnątrz żółty czy pomarańczowy. Idę ja następnego dnia normalnie, żeby solarium otworzyć, bo chociaż człowiek czarnym to żyć trzeba. Idę, idę a tu do mnie gnój taki jeden mówi – ty asfalcie. To ja mu, że nie. Że ja się tylko oparzyłem, że ja biały. Ten w śmiech i jeszcze mnie palcem innym pokazuje, że tam jest murzyn, który mówi, że się poparzył. Tłumaczę, że żaden murzyn, tylko zwyczajny Polak, ale słuchać nie chcieli. Zamknąłem się w solarium i do wieczora przesiedziałem. Dopiero jak się porządnie ściemniło do domu wróciłem. Dzwonię do mojej i mówię jak się sprawy mają. Że interes, że problemy, że mnie przezywają. To ona się pyta, czego mnie przezywają. Mówię jej, że jestem teraz czarny, to ona się śmieje. Wkurzyła mnie i się rozłączyłem. Wypilem sobie lufkę na odwagę i poszedłem do knajpy co się „Kasztelanka” nazywa. Piwo zamawiam i siedzę. Gapią się. Szemrają. Palcami pokazują. Kazika kiwam palcem, a ten w czoło się puka i głowę odwraca. To ja mu mówię, że to ja, tylko czarny. On oczy robi i długą daje, wypity był czy jak. Drugie piwo zamawiam i coraz odważniej głowę podnoszę. Co mi tu będą fikać. Ja jestem Polak z dziada pradziada, niech mi który co powie. Przysiadam się do

takich, co wódkę pili. Pytam czy można. A taki mały, żeby spaść na bambus banany prostować. Ja go za chabety i pytam czy do mnie pije. Te jego koleżki, do bitki nie byli wyrwne, rozdzielili nas i pytają mnie. Panie murzyn, gdzie żeś pan się tak dobrze mowy polskiej nauczył. To ja im od początku, że tu wychowany, że od małego, że pacierz, Pierwsza Komunia Święta, że papież Polak, że całe życie byłem biały i tylko tak się porobiło, że kolor zmieniłem. Oni w śmiech. Ja im Bogurodnicę śpiewam i z „Pana Tadeusza” recytuję kawałki. Jeszcze bardziej w śmiech uderzają, że murzyn się Mickiewicza na pamięć wykuł. Postawiłem im kolejkę i jeszcze raz tłumaczę, że się w solarium położyłem i widać było zepsute. Machali rękami, kiwali głowami. Butelkę im postawiłem, dwie butelki, obiecali, że jak się z nimi napiję to uwierzą. Kłamali. Nie uwierzyli. Idę do barmana i za twarz go biorę pytam – kto ja jestem? A on na to, a kim mam być. Ja mu, że Polak mały i go lu na ten cały bar. Szkło się potłukło. Wódka się polala. Chcieli mnie za ręce chwycić, ale ja tulipana z butelki zrobiłem i trach jednego przez szyję, trach drugiego po policzku. Murzyn oszalał! Krzyczą: Dzwoncie po policję! Nie miałem zamiaru na stróżów prawa czekać, w miasto ruszyłem. Nie wiem co mnie podkusiło, ale wiele złego uczyniłem i mam tego świadomość. Wszelkie straty materialne, które rzeczoznawca raczył wycenić na dwieście pięćdziesiąt tysięcy, trzysta jedenaście złotych pokryję choćbym miał do końca życia o chlebie i wodzie wytrzymać. Ja te samochody spaliłem całkowicie będąc pozbawiony świadomości o szkodliwości czynu. Plebanię obrzuciłem kamieniami i księdza próbowałem udusić, bo mi uwierzyć nie chciał, żeś biały. A kto miał mi uwierzyć jeśli nie duszpasterz, nasza ostatnia przed Bogiem instancja.

Drogi panie ministrze, wiem, że nie jestem murzynem, ale jeśli trzeba i to ma mi pomóc mogę się przyznać. Tak, jestem czarny, chociaż urodzony z białego i białej, chociaż dzieci moje białe, z jakiejś przyczyny zostałem czarny. Bóg mi wybaczy, jeśli ty nie zechcesz.

Kreślę się z poważaniem, Władysław Kowalczyk

TATIANA JUDYCKA
godło „Virginia Woolf”

Nagroda Prezydenta Miasta
Kędzierzyna-Koźła



TATIANA JUDYCKA urodziła się w 1976 r. w Pyskowicach. Absolwentka psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademii Muzycznej w Krakowie oraz Studium Literacko-Artystycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Laureatka konkursów poetyckich: I nagroda w XIX Ogólnopolskich Spotkaniach Pokoleń (2007 r.), III nagroda w III Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Stanisława Nawrockiego (2008 r.); wyróżnienia: III Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O strunę orficką” im. Wojciecha Bąka (2008 r.); IV Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Wawrzyn Sudecczyzny” (2008 r.), V Międzynarodowy Konkurs Poetycki „Sen o Karpatach” (2008 r.), XV Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Wacława Olszewskiego (2008 r.), XVIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (2009 r.). Obecnie studiuje w Guildahall School of Music and Drama w Londynie.

UMARLI PŁACZĄ NAJGŁOŚNIEJ

1.

Płynę pod wiatr, rękami przebieram dno.
Jestem transparentna, w przemoczonej skórze,
jestem ze szkła. Połknęłam morze w ampule,
kamienie już nie ciążą.

Fosforyzuję w łusce wody, coraz bliżej.
Słowa wypadają z ust jak mleczone zęby.
Mam przecież tylko cztery lata
zasupłane w warkoczach, dopiero dorastam

do metafor.

W dotyku mieszka sobowtór. Powtarza każdy ruch,
każdy wyuczony zgon. Dłoń spada jak fala,
już się nie wygrzebię. Gubię rachubę ciosów,
kolejność i ciężar win.

Mam dopiero cztery lata, a już umiem kłamać.
Wyciekam z ciała i udaję, że nie boli.
Ziemia jest ciepła i miękka. Dzieci śpią spokojnie
w ciasnych grobach, ktoś wciska im do ust

czekoladę.

2.

Uwierz, że śmierć jest opatrunkiem
i przytul się do ognia. Ramiona matki

były atrapą. Niech martwi stygną w ranach,
ciebie nie spali żaden ból, głupia zabawa

w dom.

Patrz jak upływa krew. Rdza na zasuszonych
naskórkach, brudny śluz, którym rysujesz
po ścianach. Papierowe statki jak żarłoczne meduzy,
połykają muł. Wiatr węszy w norach, szuka

twego cienia.

Przytul się do ziemi. Niech żywi stygną w bliznach,
oni są widzialni. Słyszą brzęk luster rozbieranych z ciebie.
Przełykają ślinę i mówią, że jeszcze nie czas. Jesteś płodem,
a już czujesz ostrza zanurzone w sercu. Powiedz, powiedz

im.

KLISZE

Najpierw były białe korytarze. Melodie podawane w ultradźwiękach.
Mantry pożegnań. Kadzidła. Kwiaty. Strach.

Potem tylko światło i chrobot. Myszy są tu od zawsze, węszą po
wydeptanych w skórze. Ból tkwi głęboko jak przeszczep, trzyma cię.
śladach

Ucz się na pamięć każdej burzy. Sny są niejasne, lecz trafisz po
zapachu.
Co minutę dojrzewa inna pora roku. Przegryzaj rzekę jak ość aż
dojdiesz do siebie.

Bóg zaszczyty w tobie układa rebusy. Kto cię zasupłał, zabronił
mówić?
Nie widać blizn po oddechu. Nic nie zostało prócz tamtych imion na
szkle.

Dotyk był końcem drogi, piętnem, które nosisz jak szkaplerz.
kwiaty, nie wracaj. Nie ma mnie wśród żywych ani umarłych.
Nazarły się

PROSTYTUTKA

Piąta rano. Światło zamarza w kieliszkach. Nie warto czekać.
Mężczyźni głodzili cię latami, nauczyli kunsztu.

Zawsze widziano cię w bieli, bez tła. Kupowano uśmiechy, mirażę.
Ciało tanie jak barszcz, *instant love* na tylnym siedzeniu.

Pamiętasz tylko szybką jazdę, ostre dźganie, plusk.
Gdzie się podziały zużyte noże, którymi nie mogłaś obrać skóry?

Dzisiaj ssiesz życie z kroplówki. Lubisz czernie, zapach krwi
zszytej grubą igłą, żeby był ślad. Obiecujesz chirurgom, że nie
wrócisz.

PUSTY DOM

1.
Tamto miejsce nie jest moje. Przytułek rąk, w których ukrywasz
skorpiony.

Szepty jak mrowienie wewnątrz ucha. To samo nie mija.

Zegar z kukułką wybija puls. Trzeba zagryźć wargi i dawać się
głaskać.

Pies szczeka, nikt nie usłyszy. *Zanim dorosniesz, poznasz świat.*
Miłość

*to brzytwa. Opuszki zacinają do krwi. Wydrapać ci inicjały, szorstkie
blizny?*

Życie musi boleć, nie ma co wyc.

2.
Od odmrożeń popękały okna.
Chciałam przelknąć lód i zasnąć.
Gwiazdy stygły w dłoniach jak szloch.

Gdzieś osunął się z nich dotyk,
zrobiło się zimniej i wszystko,
co pomyślałeś było twarde.

Lecz cios trwa nadal w zaciśniętych pięściach,
choć już prawie nas nie ma, bo wypadliśmy
z obrączek i skurczonych objęć.

Nasze noce są jak kostnice.
Ten mrok pod powiekami to tylko kurz,
który uczuła coraz bardziej.

3.
Ile waży ręka wypełniona śrutem,
dłoń ciężka jak meteoryt?

Jestem taka piękna.
Co noc pokrywaj mnie

sińcami. Skóra zdjęta z ciebie
jak ulał pasuje do bata.

Życie musi boleć, nie ma co wyc.
Już nigdy z tego nie wyrosnę.

Iskam dotyk wplątany we włosy.
Liżę blizny. Są słodkie.

NATALIA ZALESIŃSKA
godło „adagio”

I nagroda w kategorii poezji



NATALIA ZALESIŃSKA urodziła się w 1962 r. w Katowicach, gdzie nadal mieszka. Z zawodu jest informatykiem. Wiersze pisze od 4 lat. Swoje utwory publikowała w antologii pokonkursowej XIV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (2007 r.). Nagradzana w licznych konkursach, m.in.: Turniej Jednego Wiersza „O podkowę Pegaza” (I miejsce, 2007 r.), Ogólnopolski Konkurs Literacki „Miłość niejedno ma imię” (I miejsce, 2008 r.), XXV Ogólnopolski Turniej Jednego Wiersza „Kobieta” w Tomaszowie Mazowieckim (I miejsce, 2008 r.). Wśród zauważonych w I Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „Euterpe Na Wichrowym Wzgórzu” (2008 r.). Nominowana do nagrody w XXIX Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej w Świdwinie (2008 r.). Interesuje się muzyką – szczególnie klasyczną.

III KONCERT SIERGIEJA RACHMANINOWA

Allegro ma non tanto

Dzieciństwo w domu z brewion. W las
piaszczystą ścieżką. Ziarenka, igły sosny
wbijały się w stopy. Wpadałem w światło,
polanę. Na niej Cyganie rozbijali tabor,
poili zwierzęta. Wieczory na smyczkach,
w płomieniach ognisk parzyły mi wzrok.
Chciałem pod drzewem zasnąć, na tysiąc lat.

Intermezzo

Bezkres; trawy toną w upale, dzwonki
– głosy skowronków. W Iwanowce
na werandzie Natalia z obnażoną, pełną mleka
piersią, karmi córeczkę. Za ileś lat spojrzę
w moje oczy bez blasku. W ciemnym pokoju
zobaczy jak tamta mnie zabiera. Po wszystkim
spłynie spokój, kapiąc światłem. Mgnienie – błysk.

Finale

To takie proste – pewność, myśl ma moc
sprawczą i wkrótce czas się wypełni.
Zostanę tęsknotą dumką za którą pobiegiesz.
Poczujesz lekkość, brzmienie tak naturalne,
Jak tylko możliwe. Przytulisz twarz do kory.
Zobaczysz gwiazdy co spadają z deszczem.
Będiesz wiedzieć, że ptaki zawsze wracają
do sadu, jakby to działo się pierwszy raz.

Z TEJ STRONY ŚWIATA

Patrzę w skośne oczy. Zielone smugi – światła miasta.
Żelbetonowe mosty, koty spacerują po dachach.
Dźwięki jak pluskające wody w japońskim ogrodzie.
Tylko brak kolorowych karpi, bladej twarzy
kobiety. Przecieram okular i obawiam się odbierać

cokolwiek osobiście, a przecież lubię zanurzenie
w słowach, obrazach. To takie dziwne uczucie
podobne słuchaniu polecanej muzyki *Sweetheart*.
Draży, pulsuje w każdym mitochondriom. Przebiega
wzdłuż kręgosłupa, mości się w dole brzucha. Rodzi

ciepło i zimno – magiczny chrzest co łączy.

USTRONNIE

W niedojrzałe jeżyny, dojrzały głóg,
brukowana droga zasypia w szarości.
Deszcz i koncert pod kapturem z chmur.
Delicje, menu na drewnianym stole;
naleśniki w winie z wiśniami, z bananem
w czekoladzie i tak dalej zapijane piwem.

I tak dalej w rozpad czy syntezę?
Może rozpacz – kalambury na języku.
A jutro ponowna ulewa, senna
stacja, dworcowa straż. Pieśni
nad pieśniami, czytam jak mantrę
– w niedojrzałe jeżyny, dojrzały głóg.

Obok pasażer zagląda przez ramię.
W stukocie pociągu, dotykają się kolana
– łączy nas granat jeansu, w tyle śmiech,
rozmowy o czymś pożądanym. Wsiadam,

w górnym mieście.

MIGAWKI

czytasz mnie i mierzysz jak temperaturę ciała.
a ja w lesie zbieram deszczówki i widzę
– cienie podchodzą pod drzewa, kładą się
chmury. nadciąga pełnia. w ciszy świerszczy,

tak można wspiąć się na palcach, dotknąć
drogowskazu drogi mlecznej. do pokoju
wleciał świetlik, domykam okno. pachnie
tarcicą, wrastam w sen. wyrastam.

JANUSZ RADWAŃSKI
godło „Lochy Watykanu”

II nagroda w kategorii poezji



JANUSZ RADWAŃSKI urodził się w 1984 r. w Kielcach. Studiował filologię ukraińską i porównawcze studia cywilizacji na Uniwersytecie Jagiellońskim, ostatecznie ukończył polonistykę. Kontynuuje naukę na studiach doktoranckich, na specjalności językoznawczej. Mieszka w Kolbuszowej Górnej i pracuje jako dziennikarz tygodnika „Korso Regionalne”.

NIESZPÓR

„Pan cię okryje skrzydłami swoimi, nie ulękiesz się strachu
nocnego”,
mówi głos w radiu. i faktycznie, pola już całe w pierzu, bać się
nie ma czego, zbyt wiele śniegu dzieli nas od ludzi. Znów patrzę
na ciebie, zanim się obudzisz i krzykiem powiesz światu stanowcze
„być może”. na razie poprawiam, co się da. lepiej ułożę koc,
dotknę rąk, czy aby nie chłodne. powtarzam jeszcze raz te wszystkie
drobne
rytuały, które mają odpędzać zimno, a jest w nich coś co przetrwa
nawet
gdy zaokienna ciemność będzie już we mnie. więc spokojnie,
jakbym
już był pewien tego, że Pan cię okryje skrzydłami swoimi,
nie uklękiesz się strachu nocnego.

MĘŻCZYŹNI SĄ Z POLSKI, A KOBIETY Z PIEKŁA

Michałowi Wu Wójcikowi

bo mężczyźni są z polski, a kobiety z piekła
rodem muzyka zewsząd i nie ma gdzie się schować.
targety różnych bogów, klienci wież babel
plączemy sobie język bo coś nas musi trzymać
gdy chłodne fale światła podcinają nogi.

mężczyźni z przeceny, kobiety z promocji,
muzyka znienacka i nie ma już jak uciec.
oczka wielkiej sieci, ujścia stu kanałów,
w powodziach kolorów, w arkach obcych źrenic
płyniemy aż gołębica przyleci w dziobie niosąc kabel

ADWENT

niewiele da się zrobić. zaślepić kontakty,
okleić krawędzie, zakryć wszystkie kanty,
a i tak cię czeka tyle zaślepień,
krawędzi i kantów że się nie da powiedzieć.
nawet myśleć nie śmiem o tej stronie winien
po której będę widniał, gdy po stronie ma będzie
świat i jego piękne widma fal bólu,
bardzo brzydkie tęcze wszystkich odkryć,
luk w prawach, za które głową będę ręczyć.
więc czytam ci wiersze. sadzę drzewa.
drewno suszę. słyszysz? szmer wersów,
szum lasu, trzask sęków wśród ciszy.

PATRON

nad łóżeczkiem małej czuwa święty Jerzy, porządny, z mosiądzu.
końcem miecza mierzy w wijące się cielsko albo w budzik „Sława”
między wężem a koniem. ostateczna rozprawa ze złem w dwóch
postaciach,
a może coś jeszcze? Za ścianą u sąsiada spiker próbuje zmieścić
w słowach ledwie żywego języka świat, którego nie ma. rząd, banki
i giełda zapelniają schemat skrojony na miarę bajki na dobranoc,
której wciąż chce się słuchać, choć codziennie to samo kojące
placebo zakleja źrenice, a powinny być raną, która się nie goi.
święty, którego, mówią, nie ma, skoro już tu stoisz, broń jej
przed tym światem, który ponoć jest. ty znasz się
na walce z nieistniejącym złem.

RAFAŁ GAWIN
godło „Auto stop”

III nagroda w kategorii poezji



RAFAŁ GAWIN urodził się w 1984 r. Korektor kwartalnika literacko-artystycznego „Arterie”. Publikował w „Tyglu Kultury”, „Arteriach”, „Redzie”, „Cegle” i w antologii „Na grani” (Łódź, 2008). Nagradzany i wyróżniany w wielu konkursach. Absolwent finansów i bankowości na Uniwersytecie Łódzkim. Mieszka w Justynowie.

BRAKI. KLASY

Zaznaczam swoje terytorium
wulgarnym językiem, jeszcze brzydszym charakterem
pism, kolejnym numerem złożonym
z samych zer – to polityka
wydawania pewnych dowodów, osobistości
wyszczadzanych na miarę. *Złe kilometry*, podziały,
podziałki i poniedziałki, jakby coś mogło dziać się
równy z ziemią, z każdym podniesieniem

nogi. Kurwa, do samego nieba
nie zdążyłbym uciec, żeby uzasadnić
te wstawki między modlitwami; za dużo
miejsca, co obciąża jak rozgrzeszenie. I rozpoczyna się
odlot – nowe ciepłe kraje. Ale co nagle,

to po chuju – ślina spływa jak gnojek ze ślizgawki
(nie miał bandy, od której mógłby się odbić).
Na zdrowie! Ustał katar i wpierdaliśmy katarzynki
jak ostatnią wieszczkę. A język szuka nowych wyzwaniań.

WLEPKI. CIAŁA OBCE

Nie wiemy, komu się należy
wpierdol. Nie znamy historii,
więc nosimy się na rękach.
W czapkach-niewidkach na bakier,
gdy w malignie gdzieś poza
horyzontem majaczy
sąd ostateczny – fatamorgana
czy inne, zważone widoki
na przeszłość. Wszystko jest
przenoszone drogą płciową,
zabezpieczenie z każdej strony
nie pozwala stąd uciec.

Czy ktoś nas zamknął
w akwariu i karmi glonami,
stopniowo odparowując wodę?

Wiara
jest stanu wolnego.

NA ODLEW

Wciąż u źródeł – z jedną ręką w nocniku,
drugą sięgając po papier, jakby wszystko dało się
w nim przemycić. Bez prawa do tytułu, otoczony
przez coraz ciaśniejsze ściany, niepokój
narastający na styku rozumu i niewiary. Bomba

zegarowa z materiałem na komedię,
która nie chce wybuchnąć śmiechem. Waha się,
nie zna dnia i godziny nalotów
dywanowych, dżinów z rosnącej liczby otwieranych butelek,
którymi można by zagrać w kręgle. Wszystko się przewraca,

zanim przekroczy zawartość i spróbuje
wybrać napięcie. Prąd jest zimny
jak suka, która podtapiała szczenięta.

Wszystkiemu winna woda.

ULGA REMONTOWA. POLOWANIA

Nie przyszliśmy tu, żeby umierać
za wszystkie kobiety, z którymi nie zaśniemy
po długim i wyczerpującym seksie.

*Gdzie musi dotrzeć język, byśmy mogli
go zgubić? Jak ma na imię jego starszy brat,
który wykrzywia twarz?*

Miłość to jednak nie dyscyplina.
Jeśli w ogóle się pojawia, spuszcza łomot
niezaangażowanym. Jak honor – ma słowo,
które jest bardziej wulgarne od niej samej.

*Wszystkie pytania już padły.
Nadszedł czas, by wykończyć odpowiedzi.*

Trzymanie się tematu jest dobre
dla początkujących. Odsuńmy się
na niebezpieczną odległość. Po wszystkim
strzały padną same.

WERONIKA GÓRSKA
godło „Rita”

wyróżnienie w kategorii poezji



WERONIKA GÓRSKA urodziła się w 1986 r. w Chorzowie. Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Śląskim oraz studiów literacko-artystycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Członkini Koła Literatury XX w. oraz Koła Feminizm – Gender – Queer. Związana z Grupą Poetycką Obok Sceny. Laureatka konkursów literackich i turniejów jednego wiersza w Chorzowie, Katowicach, Bytomiu, Gliwicach, Tarnowskich Górach, Świdnicy. Publikowała w antologiach „Jak smagnięcie gałązką” oraz „Obok Sceny”, w piśmie „Migotania, Przejasnienia” oraz na antenie Radia Katowice i Radia Piekary. Pasjonatka literatury feministycznej, ziołowej herbaty oraz wegetariańskiej kuchni.

KINOMANIACY

nie zwykliśmy patrzeć sobie w oczy
chyba że właśnie ustanie rwący prąd
w gniazdku a nasze tęczęwki
odbijają się w wyschlłym ekranie monitora

owszem czasami uprawiamy seks
zwykle na lynchu cronenbergu i nieumytej podłodze
możemy też ruszać biodrami w rytm ostatniego tanga w paryżu
aczkolwiek wciąż nie potrafię przekonać się
do masła to jednak kwestia czasu

bilety na festiwale czarno-białych filmów znowu podniosły
błagalny wzrok obiady jadam zatem tylko w czwartki
a ty nosisz dziurawe buty albowiem ubogacenie ducha
zaczyna się w pustym żołądku i w przemoczonych skarpetkach

już prawie dokonał się akt triumfu woli
już prawie uwierzyliśmy że mistrzostwo montażu
wynagradza trzygodzinny pompatyzm kiedy głos führera
stał mi się kołysanką na szczęście nikt nie zauważył
właśnie dla takich chwil kinowe sale są ciemne

w dni kiedy się nie spotykamy każde z nas potajemnie
kupuje duży popcorn płacze na titanicu

TOALETA VIVIEN

przyglądam ci się zza kotary viv gdy naga upinasz włosy
odslaniając kark rzeźbiony setkami pomysłów na pocałunki

gramofon niespiesznie dyktuje franka sinatrę
mięśnie grzbietu prężą się leniwie kołysze oszalamiająca talia
na planie przeminęło z wiatrem licząca zaledwie siedemnaście cali
oraz biodra których przez pewien czas tylko ja będę mógł dotykać
tak jak tylko dla mnie zza niskiego stołeczka wysuwa się
bosa stopa w lakierowanym pantofelku rozmiar trzydzieści sześć

trenujesz wart tysiące dolarów uśmiech ten z dołeczkami
który odtwarzają nadaremnie wszystkie panienki
śniące o retach butlerach w pościeli nie zaznającej skłębień

kiedyś na każdej twojej toalecie we wszystkich garderobach
pomiędzy moimi zwiędłymi fotografiami wykielkuje kieliszek koniaku
po opróżnieniu będziesz ciskać nim we własne odbicie wyuczonym
gestem
jak teraz ciskasz złamaną nieopatrznie szminką o pluszowy dywan

pozostało ci jednak sporo czasu dziś otrzymasz pierwszego oscara
wciąż domyślasz się obecności każdego adoratora czekającego
niczym motek wełny
aby rozdrapać go i się przekonać że w środku wygląda identycznie
jak na zewnątrz
na samą myśl o nim uśmiechasz się viv nie zapominając o dołeczkach
przez chwilę nasze oczy spotykają się w lustrze

DAMY NOWEGO YORKU

nowy york zaplanowano skrupulatnie
od stopnia wypolerowania widelczyków do kawioru
aż po kolor bruku w ostatnio mniej modnej dzielnicy

hodujemy nobliwych obywateli oraz buntowników w stosownych
proporcjach
projektując powozy w sam raz na niewinne romanse jednych
z drugimi
dość osłonięte aby się całować ale z nie dość dyskretnym stangretem
aby pozwolić sobie na więcej

w salonach ja i ona uśmiechamy się bez przymusu
pomimo że konwersacja dotyczy pogody oraz cen atlasu
porozumiałyśmy się doskonale co do twojej przyszłości
zawieszona jak czarna krepa między naszymi krynolinami
nieprzypadkowo

każda z nas posiada zdrowy rozsądek i zna swoje miejsce
choć to jej pantofelka dotykasz wargami niemal szlochając
zawsze będziesz musiał dotykać nimi mojego czoła
to ze mną spłodzisz krzepkich synów i jedyną córkę
niezależnie od tego ile razy wyszepczesz jej imię adamaszkowej
poduszce

więc nie głów się jakie to interesy mógłbyś robić w obcym mieście
gdzie ona chwilo przebywa aby marzyć o tobie
sama poproszę abyś odwiedził biedaczkę
możesz liczyć na mnie wychowaną na dobrą żonę

WIEM CO CI SIĘ PRZYDARZYŁO W TEKSASIE LOUISE

w małych miasteczkach na południu nic się nie dzieje
tchórzliwi faceci zakładają małe sklepiki i budują małe domki
pozostali wstępują do glin aby za obławami i podsłuchami
kryć się przed słowem tchórz

w małych miasteczkach mieszkają różne małe
budzą się czasem spocone i drżące
aby wydłubywać zza paznokci nitki flanelowej koszuli
kartoteki policyjne milczą na ten temat
a może tylko ja potrafię je czytać co louise

problem pojawia się gdy małe zmuszone są dorosnąć
uczą się szczytować i przeproszać obrabiając sklepy
albo mniej spektakularnie ciułają z pensji kelnerki
i nie ufają kochankom zwłaszcza tym sympatycznym
których zeznań nie wolno mi potem wrzucać do kosza

takich małych nie potrafię dłużej ukrywać przed dużymi chłopcami
zostaje im cadillac i wielki kanion nie ma się czego wstydzić louise
to naprawdę spora dziura i tyle w niej piachu

pieprzony american dream

KATARZYNA KACZMAREK
godło „Nóż w torcie”

wyróżnienie w kategorii poezji



KATARZYNA KACZMAREK urodziła się 18.09.1988 r. w Toruniu. Studiuje psychologię i polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Publikowała swoje utwory w antologii pokonkursowej I Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Mój list do świata” w Sieradzu (2008 r.). Nagrodzona w Turnieju Jednego Wiersza w ramach Festiwalu Re:wizje.

TOWARZYSZENIE BEZ MELORECYTACJI

czuł się bezpiecznie mówiąc o pogodzie
choć wiedzieliśmy zbyt dobrze, że tej zimy
tramwaje występują z brzegów, wzbierają
i zabierają ludzi.

gdy spytałam
było mi miło, że umknął odpowiedzi.
(przyczepność spadła, powierzchnia była śliska,
miał ładny głos, gdy nie mówił w tamtą stronę)

pomilczeliśmy więc chwilę o Adamie – o tym, jak
wpadł, dał się wciągnąć, wkręcić,
a krok rymował się jak u Cohena –
z tempem drugiego ciała, ze światłami,
a droga była drogą hamowania.

WEWTE

zdarza nam ślinić się na myśl o źródle
i pielgrzymować tyłami lokalu
poprzez nasypy mlecznych matek z drutu,
winyłu, skaju. futrzana instalacja,
jeśli cię nie było, to stajesz się w tym miejscu
między drinkami. mam myśli o tobie.
chcę zdać świadectwa, dowody, zęby, piersi,
pójść w drugą stronę (do pierwszego domu).

OBJAZD

jeśli dziś wtorek to jesteśmy nadal w tym samym miejscu,
w wodzie są balkony.
zrobimy tak:
odnajdziesz jeden, zagrasz Jezusa,
zbiórę po hrywnie i można się rozejść,
rozpuścić w słonych żyłach uliczek
na których puchną melony i meduzy.

słońce nabrzmiewa jak twarze kobiet na rybnych targach,
w marszrutkach i aptekach
wyjście: rozsypać się i zalsnąć.

GŁĘBIEJ

wyście: rozsypać się i zalśnić,
zanurzyć głowę w glonowisko,
we wzory na kafelkach, w słowa
o orientalnych rdzeniach.

AWARIA

biegniemy przez pole do miejsca pod płotem
nie mogę przekrzyczeć psów proboszcza, pyłu, zboża
ani jeziora zamkniętego ze wszystkich stron niczym
a kiedy przystajemy wplątując palce w drut
i Maja mówi mój ojciec zabił się w 1996
mój język jest śliską traszką, chce ukryć się w kamieniu

SPIS TREŚCI

Karol Maliszewski	–	<i>Kędzierzyński wysyp nowych talentów</i>	5
Anna Maria Podyma	–	godło „AnnMari93”	7
Izabela Kawczyńska	–	godło „phobos”	39
Tadeusz Mieszkowski	–	godło „śliwka”	49
Karol Graczyk	–	godło „Trzynastogłoskowy tamburyn”	67
Tomasz Pułka	–	godło „Haclav Vavel”	91
Aleksandra Paprota	–	godło „Dom”	99
Piotr Rowicki	–	godło „Zebra”	105
Tatiana Judycka	–	godło „Virginia Woolf”	115
Natalia Zalesińska	–	godło „adagio”	123
Janusz Radwański	–	godło „Lochy Watykanu”	129
Rafał Gawin	–	godło „Auto stop”	135
Weronika Górka	–	godło „RITA”	141
Katarzyna Kaczmarek	–	godło „Nóż w torcie”	147



Projekt Funduszu Spójności nr 2003/PL/16/P/PE/046 „Zaopatrzenie w wodę i oczyszczanie ścieków w Kędzierzynie-Koźlu”

W latach 2004–2010 w Kędzierzynie-Koźlu realizowany jest Projekt Funduszu Spójności nr 2003/PL/16/P/PE/046 pod nazwą „Zaopatrzenie w wodę i oczyszczanie ścieków w Kędzierzynie-Koźlu” o wartości **44,5 mln euro**, współfinansowany w **70%** ze środków Unii Europejskiej.

W ramach tego projektu zostanie rozbudowany i zmodernizowany system kanalizacji sanitarnej o łącznej długości około 99 km, zmodernizowana zostanie istniejąca oczyszczalnia ścieków, m.in. przez budowę nowych obiektów, tj. nowoczesnej suszarni osadów ściekowych, osadnika wtórnego, zamkniętej komory fermentacyjnej, zostanie zmodernizowany istniejący system odprowadzania ścieków deszczowych o długości około 17 km oraz rozbudowany system rozprowadzania wody o długości około 20 km. Planowany termin zakończenia Projektu Funduszu Spójności to rok 2010.

**Projekt ten, współfinansowany przez Unię Europejską,
przyczynia się do zmniejszania różnic społecznych
i gospodarczych pomiędzy obywatelami Unii**

